

ŚWIĄTU

Czasem kwietnia, pora letnia,
Czasem zwiedzie, w marzec zjedzie.



Grzmot w kwietniu dobra nowina,
Już szron roślin nie pościna.

Na św. Wojciecha, naszego patrona,
Już się w zbożu ukryje i zając i wrona.

Deszcz w święty Marek,
To ziemia, jak skwarek.



KOBIECE DOLE.

I.

HERMINIA.

— Ach! jaki śliczny dzień! — zawołała pani Herminia, gdy rano służąca, wchodząc do jej pokoju, odsłoniła story i wpuściła do pokoju fale słonecznych promieni.

— Mamy wiosnę — odparła służąca. — Co pani włoży?

Słowa te mile zabrzmiały w uszach pani Herminii; wiosna przynosiła tyle przyjemnych rzeczy: spacer, wyścigi, wystawę, na które mogła przywdziać nowe stroje, czekające tylko promienia słońca.

Jakże ona wybornie bawić się będzie, otoczona rojem wielbicieli, śmiejąc się, dowcipkując, pokazując swą jasną twarzyczkę blondynki, pełną ładnych dołeczków. Bo pani Herminia była śliczną i jak motylek ślizgała się po samych kwiatkach życia, rozpieszczona od natury, losu i ludzi.

Czy była szczęśliwą? Ona sama zapewne nie umiałaby odpowiedzieć na to pytanie, którego zresztą nikt jej nie stawiał, bo życie jej tak jak każde inne, miało chwile rozkoszy i chwile cierpienia.

Rozkoszą było dla niej np. królować na balu; rozpacz, jeżeli która z przyjaciółek przyćmiła ją swoją tualetą, lub odniosła jeden z tych światowych tryumfów, które zostawiają niestarte ślady w pamięci pięknych kobiet.

Zresztą pani Herminia śmiała się bardzo chętnie, pokazując białe ząbki, wiedziała, że ze śmiechem jest jej do twarzy, płakała rzadko, a dąsała się o byle co.

Ogólnie jednak nazywano panią Herminię dzieckiem szczęścia; bogata i śliczna jedynaczka, poszła za mąż w najlepszych warunkach, a w chwili właśnie, gdy małżeństwo miało się zamienić w ciężkie jarzmo — bo niezgoda zapanowała w młodym stadle — owdowiała. Teraz zaś bezdzietna i swobodna, używała życia. Używała, ale nie nadużywała, świat bowiem nie miał jej nic do zarzucenia.

Nie jeden ubiegał się o rękę młodej wdówki, ale ona za nic w świecie w powtórne śluby wchodzić nie chciała. Była to natura tak lekka i nieujęta, iż zapominała wieczór o tem, co jej się rano podobało,

nie było więc niebezpieczeństwa, by miłość zagościła na dobre w jej sercu, a bez miłości, mając stanowisko, majątek i swobodę, dlaczegożby miała poddawać się cudzej woli. — Spróbowała już raz i miała tego dość.

Mówiono po cichu, że nieboszczyk mąż daremnie starał się wyrobić w pani Herminii trochę poważniejsze poglądy, przekonywał ją napróżno, że życie ma inne strony, niż stroje i zabawy. Ona tych stron poznać nie myślała; tak ją wychowano, taką była i taką chciała pozostać, bo było jej z tem bardzo dobrze.

Po co np. miała kłopotać się rozlicznymi trudnościami wiedzy, kiedy ona żadnych trudności nie spotykała na drodze swojej? co ją obchodziły zagadnienia społeczne, kiedy nic na nie poradzić nie była w stanie? po co miała psuć oczy nad poważnymi książkami, kiedy jest tyle zabawnych powieści?

Wiedziała o tem doskonale, że nie była uczoną, ale ona też uczoną być nie pragnęła. Słyszała nieraz, że sawantki nie podobają się nikomu, a przytem sama miała sposobność stwierdzić, że ludzie uczeni rozmawiali z nią chętniej, niż z kobietami, które z uczoności słynęły.

Zresztą, szła zawsze za pierwszym wrażeniem, jak dziecko, które nie ulega kontroli rozsądku. Uważano ją za bardzo dobrą, ponieważ ile razy spotkała ubogiego, dawała mu chętnie jałmużnę, — z drugiej strony jednak służąca jej, upadając ze znużenia i choroby, musiała swą służbę pełnić, bo pani Herminia obejść się bez swojej Rózi nie mogła i nie przyszło jej na myśl zwolnić ją od jakiejś uciążliwej usługi.

Ludzie przecież, nazywając ją dobrą, mieli słuszość, tylko była ona dobrą w zakresie swych pojęć i świadomości, jak każda zresztą ludzka istota. Trzeba tylko przyznać, że zakres ten był bardzo ciasny.

Pani Herminia, leżąc w eleganckim łóżku na batystowych poduszkach, uśmiechała się do błękitu nieba, do projektów, jakie snuła — i rozmyślała nad ważną kwestyą, czy ubrać się w fular, czy w materję, czy w cienutką wełnę, czy w wełnę z atlasem, lub też odważyć się na kreton.

Czas jakiś zeszedł nad tym ważnym rozmysłem, aż w końcu postanowiła wszystkie te tualety przymierzyć po kolei, i chcąc zobaczyć, jak się w słońcu wydawać będą, nie kazała zapuszczać stor, ale wbrew zwyczajowi, usiadła w promieniach jego przy tualecie.

Promienie słońca poczęły ślizgać się po głowie, po ramionach, po twarzy Herminii i rozwyraźniły tysiące szczegółów, które przy mniej silnem oświetleniu nie uderzały wzroku, pokazały np. niedyskretnie na jej czole, skroniach, licach, szczególnież też około oczów i ust, sieć drobnutkich zmarszczek; pokazały także na końcu zgrabnego noska i nozdrzach mnóstwo ciemnych punkcików, które je obsiadły rojem nakształt mikroskopijnych żyjatek, pokazały żółte i czerwone cienie, nierówności szpecące płeć niegdyś mogącą walczyć o lepsze z różą i liliami, a wśród złocistych włosów wiele, bardzo wiele srebrnych nitczek.

Pani Herminia spojrzała w lustro z przerażeniem i zdawało jej się, że to ono odbija niewierny obraz; kazała służącej wytrzeć je, umyć, rozjaśnić, ale im staranniej Rózia spełniała rozkaz swojej pani, tem wyraźniej w odbiciu występowały skazy na jej piękności.

— Zwierciadło czyściuteńkie, proszę pani — wyrzekła wreszcie.

— Dobrze, już dobrze, idź sobie — wyjąkała zdławionym głosem Herminia.

Gdy Rózia — nawykła do różnych kaprysów swej pani — wyszła w milczeniu, Herminia zerwała się z miejsca, zaryglowała drzwi za nią i powróciła przed nieszczęśne zwierciadło.

Wówczas dopiero, zabezpieczona od ciekawych i złośliwych spojrzeń, zaczęła robić przegląd szczegółowy swoich wdzięków.

Niestety, przegląd wypadł fatalnie. Dla tego to widocznie przyjaciółki litowały się nieustannie, że miernie wygląda, dla tego wypytywały ją tak troskliwie o zdrowie. Była zdrową, zdrową zupełnie, a jednak zbrzydła. Dla czego zbrzydnąć mogła? W dobrej wierze zadawała sobie to pytanie, zapominając o latach, które biegły... biegły nieustannie. Wieleż takich lat przeżyła i przeżywała? Dziwić jej się nie można, lata biegły wprawdzie, ale nie przynosiły jej ani dojrzałości, ani rozwagi, ani doświadczenia, ani żadnego życiowego owocu, należała do rodzaju kobiet, które starzeją się tylko przypadkiem, bo umysł ich i serce zachowują zawsze barwę lat piętnastu. Są to nieszczęśliwe istoty, żywe karykatury, mające na zmarszczonej twarzy uroczę minki młodości, w których wyschłej piersi kryją się złudzenia dziecinne, a pod osiwiałą czaszką przemieszkuje lekkość i niekonsekwencya lat pierwszych.

Och! ten niemiłosierny czas, dlaczegoż on obszedł się z nią okrutnie i nie chciał zapominać o niej, tak jak ona o nim zapominała?

Być może, iż wyrazy te nie sformułowały się tak dobitnie w głowie pani Herminii, ale to pewne, że czuła się pokrzywdzoną, nieszczęśliwą i z ponurą rozpaczą spoglądała na ten zdradziecki promień słońca, który tak wyraźnymi czynił szczyby w jej piękności.

Przyszło jej na myśl zamknąć się w półcieniu swego apartamentu i nie poddać nigdy głowy jego promieniom, ale wówczas musiałaby porzucić owe spacerę, wyścigi, wystawy, na których błyszczała, nie mogłaby przywdziać ani tej ślicznej tualety koloru »terracotty«, ani tej drugiej różowo-żółtawej, ani też tej *bleu savon*, które do rozpaczę miały przyprowadzić jej rywalki. A jednak jakże się tu pokazać tym rywalkom, które odrazu zawyrokują: »Herminia się zestarzała«.

W tej smutnej alternatywie rozplakała się rzewnymi łzami, spoglądając naprzemian żalonym wzrokiem, na tualety i w zwierciadło.

Jak dziecko w każdym zmartwieniu uciekała się do płaczu i łzy nie zawodziły jej nigdy. Ale łzy zamiast przynieść ulgę, zaczerwieniły powieki, powlekły twarz czerwonymi plamami i zeszcpecły ją tak bardzo, iż powstrzymała je przerażona, a nawet zaczęła obmywać twarz zimną wodą.

Ona zestarzeć się nie chciała, nie mogła, ona musiała zachować swoją piękność, bo inaczej... inaczej cóż robiłaby na świecie?! Piękność przecież stanowiła jej rację bytu.

I rzeczywiście pani Herminia ukazała się wkrótce na wiosennym spacerze z cerą liliowej białości, na której rysowały się delikatne rumieńce, jakby malowane. I co dziwniejsze — z dniem każdym zamiast ubywać, przybywało jej wdzięków; brwi ciemniały, oczy nabierały blasku, kolor włosów nawet mienił się na ów gorąco

złoty, który spotkać można w obrazach Weroneza i Tycyana, słowem po kilku latach stała się ona zupełnie podobną do żywej maski, osypanej pudrem i karminem.

Kobiety, a zwłaszcza młode śmiały się z pani Herminii; śmieli się z niej także mężczyźni, ale ona pomimo to liczyła się do młodych; w karnawale tańczyła na każdym balu, należała do wszystkich spacerów, rautów, dobroczynnych bazarów, loteryj, i to w charakterze młodej kobiety. Czas biegł, a ona zdawała mu się urągać, zawsze na posterunku, zawsze strojna, wysznurowana, wymalowana, walcząc rozpacznie z każdą zmarszczką, z tuszą, która zbyt zaokrąglą jej wiotką, niegdyś figurę, upierając się przy tej młodości, którą zostawiła już bardzo daleko za sobą.

Rysy jej oddawna straciły właściwe kształty, siły nawet ustawały w tej walce. Zrazu pani Herminia była trochę śmieszna, powoli stawała się wstrętną. Ta starość nie szanująca siebie, wymalowana, wykrygowana, budziła przykre wrażenia. Ale cóż miała robić, umysł jej i serce miały zawsze lat szesnaście, bawiła się każdym cackiem, ubiegała o każdą nowość, goniła za modą, trzpiotała się i śmiała jak dawniej, pokazując tylko zamiast własnych, fałszywe zębki białe i równe jak perełki.

A jednak czasami napadały ją chwile niewypowiedzianego znużenia, chwile, w których z dreszczem trwogi myślała o coraz większej torturze ciasnej sznurówki i całego dnia światowych uciech, wówczas byłaby chętnie pozostała swobodną w swym wygodnym apartamencie. Ale czem zabić nieskończone godziny dnia?

Nie mogła przyjąć nikogo, bo przecież niepodobna jej było pokazać się ludziom bez pomocy sztuki.

Gdyby nawet chciała to uczynić, ludzie nie poznaliby nigdy w tej siwej, pomarszczonej, rozlanej staruszcze, młodej, złotowłosej, białej, rumianej Herminii; najbliżsi znajomi przeszliby koło niej bez ukłonu; tym sposobem maska przyrosła jej do twarzy, a jedna tylko Różia, która codzień dokonywała metamorfozy swej pani, mogłaby jej identyczność poświadczyć.

Różia też z tego powodu rządziła nią samowolnie i nawet tyranizowała ją czasami w ten sposób, że Herminia płakała rzewnymi łzami, ale pomimo to, nie pomyślała nigdy o jej odprawieniu. Naprzód Różia znała wszystkie jej sekreta, a potem... potem kochała ją, po swojemu wprawdzie, boć nikt cudzem sercem kochać nie może, ale była to jedyna dusza, która miała o niej staranie i z którą żyła się w ciągu lat kilkudziesięciu. Cóżby ona bez Rózi robiła?

Różia wiedziała o tem dobrze i umiała władzę swoją nad panią utrzymać. Chociaż więc co rano podrabiała pracowicie przez godzin kilka wdzięki swojej pani, uważała ją zawsze za młodą, nigdy nie nasuwając żadnej przykrew myśli.

Co rano odbywała się między panią a służką prawie jednaka scena. Gdy Herminia zadzwoniła, Różia wchodziła do pokoju, odsłaniała story i zadawała sakramentalne pytanie:

— Co pani dziś włoży?

Wtedy Herminia kazała przynosić sobie kilka tualet, przyglądała im się, namyślała, kombinowała projekta dnia i wreszcie zaczynała się ubierać.

To trwało bardzo długo, zabijało czas niemal do chwili, kiedy należało jechać na spacer lub wizyty — potem przebierała się na obiad, potem raz jeszcze na bal, teatr, lub wieczór, aż powracała do domu nad ranem, zmęczona, wyczerpana, na wpół żywa.

Rola młodej, jaką odgrywała, nużyła ją równie, jak gorset, maszynka do ściągania zmarszczek i t. p. ale cóż miała robić — to przynajmniej zapełniało jej życie.

Inne kobiety miały obowiązki: oddawały się gorliwie miłosierdziu, nabożeństwu lub rodzinie — ona wprawdzie dawała jałmużny, gdy ją o to proszono, jeździła do kościoła zarówno jak wszyscy, ale ubodzy przejmowali ją wstrętem, kazania i długie nabożeństwa nudziły, rodziny bliskiej nie posiadała, a nie miała ani chęci, ani zdolności przywiązania do siebie jakiego serca.

W jej bezmyślnej głowie uczucia i wrażenia przebiegały jak chmury, gnane wichrem burzliwym, nie zdolna była nic postanowić, nic wykonać, do niczego dążyć. Rozwaga była to rzecz dla niej obca zupełnie, nie rozwijano w niej tej strony umysłu, a życie i doświadczenie było dla niej bezowocne. Chowano ją na cacko, cackiem była zawsze i cackiem pozostać pragnęła, tymczasem — zestarzałem i zwiędłem nikt bawić się nie chciał.

Śmiano się z niej, chociaż zasługiwała więcej na litość, niż na szyderstwo, gdy wysznurowana, wyróżowana, z uśmiechem stereotypowym na ustach, błąkała się wśród świata, coraz mu więcej obca, pokonywając z wzrastającą trudnością ociężałość i dolegliwości wieku.

— Róziu — mówiła dnia jednego, ubierając się na bal — czy mam włożyć suknię *fraise écrasé* z koronkami, czy też *crème z vieil or*?

Różia przyniosła suknie i rozłożyła je w blasku lamp. Były rzeczywiście śliczne; jasne kolory materii lśniły pod pajęczą tkaniną koronek. Mogły ustroić wdzięcznie świeżą piękność młodej kobiety — przy nich biedna Herminia wyglądała na zgalwanizowanego trupa.

Przez chwilę patrzyła na swoje tualety, jakieś kurczowe drgnienie przebiegło jej twarz i wykrzywiło ją pod grubą warstwą kosmetyków. Westchnęła głęboko.

Mógłby kto pomyśleć, że za młodością swoją, czy nad tem ciężkiem życiem, jakie prowadziła, czy nad marnym celem istnienia, którym było daremne zachowanie pozorów rzeczy minionej niepowrotnie. Nie, ona westchnęła, bo czuła jakąś dziwną niemoc ogarniającą ją stopniowo, bo trudno jej było pochwycić tchu.

— Róziu! — szepnęła zdławionym głosem.

Ale Różia nie patrzyła na swoją panią, była zajęta przypinaniem do sukien garniturów kwiatowych, kręciła się po pokoju i wychodziła do przyległego gabinetu.

— Róziu! — powtórzyła Herminia.



HERMINIA.

Tym razem głos jej był tak słaby, iż szept nie doszedł do ucha służącej.

W pokoju rozległ się hałas, jakby upadek ciężkiego ciała. Różia przybiegła i zastała swą panią leżącą na ziemi, z wykrzywioną, drgającą twarzą, z pianą na ustach.

Przeżona wpadła do kuchni, wołając ratunku.

Służba rozbiegła się szukać doktora, a tymczasem Herminia, na wpół ubrana, leżała na ziemi w otoczeniu kwiatów, wstążek, atlasów klejnotów, wśród wszystkich atrybutów młodości.

Przybyły po godzinie lekarz znalazł już tylko zimnego trupa, na którego twarzy świeciły niestarte karminowe rumieńce i śnieżna białość ryżowego pudru. Umarła tak jak żyła. Dojrzała i zestarzała się przypadkiem i taką też była jej śmierć.

Wspomnieniem po niej jedynym pozostał śmiech, który nigdy nie schodził jej z twarzy i z którym witano ją zawsze.

WALERYA MARRENÉ.

UROCZE OCZY.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH.*)

(Ciąg dalszy).

SCENA 3.

REJENT, LUDWIK.

LUDWIK (wchodzi głębia. — Strój myśliwski, dubeltówka przez ramię).

Dzień dobry, wuju.

REJENT.

Dzień dobry. — Co ten ubiór oznacza?

LUDWIK.

Wracam z pola, a teraz, jak tylko koń wytchnie, jadę do lasu.

REJENT.

Nocowałeś u siebie, w Dębnikach?

LUDWIK.

Tak.

REJENT (przygląda mu się uważnie).

Źle wyglądasz... zmizerniałeś...

LUDWIK.

Bo mało spałem. Chciałem zamknąć kwartalne rachunki... pisałem...

REJENT.

Co pisałeś?

LUDWIK.

Dyspozycję dla rządu, którego raniutko wyprawiłem do miasta z pieniędzmi na podatki.

REJENT (który w ciągu słów poprzednich Ludwika zdjął mu dubeltówkę z ramienia).

I teraz jedziesz do lasu?

LUDWIK.

A tak. Zwierzyna przyda się dla gości. Ogary wysłałem na Leśniczówkę. Upoluję zająca, może dwa... i wrócę tu na śniadanie.

REJENT (który oglądał przykład mechaniczny fuzji).

I na zająca masz strzelbę nabitą kulami?

LUDWIK.

Czy kulami?... A tak, tak, przypominam sobie. Ekonom mi mówił, że pod Maćkowym gajem dziki wyżerają i tratują owies...

REJENT (który bardzo uważnie przypatrywał się Ludwikowi, nagłym ruchem rozpina kurtkę na jego piersi i wyjmuje z zanadru rewolwer).

A tem do czego myślisz strzelać?

LUDWIK (nieco zmieszany).

Tem?!... (Chwila milczenia). Przez roztargnienie zabrałem z sobą; leżał na stole, pod ręką...

REJENT.

Ludwiku! Ludwiku! Ludwiku!

LUDWIK.

Ależ-bo doprawdy nie rozumiem o co ci chodzi! Badasz mnie jak studenta, czy przestępcę. Wziąłem rewolwer, bo...

REJENT (przerywa).

Nie kłam. Dusza twoja nie może mieć dla mnie tajemnic. Jeszcze kiedy byłeś dzieckiem każdą myśl najskrytszą z oczu twych czytałem...

LUDWIK.

Tak, ale teraz...

REJENT.

Czytam ją teraz lepiej niż niegdyś. (Bardzo wzruszony przechadza się chwilę, potem nagle zatrzymuje się przed Ludwikiem, który jakby nie chciał się dalej bronić usiadł na krześle i głowę zwiesił na piersi). Daj mi słowo, że dopóki ja nie stracę nadziei, nie targniesz się na swoje życie.

LUDWIK (powstaje i mówi smutnie, ale spokojnie i bez zbytejnej tkliwości).

Słowa nie potrzebuję ci dawać, drogi wuju, bo myśl o samobójstwie może wprowadzić, jak błędny ognik migotała chwilę w moim mózgu, nie zamieniła się jednak dotąd w zamiar stanowczy.

REJENT.

Cóż znaczy ten rewolwer?

LUDWIK.

Powtarzam, że mimowoli zabrałem go ze stołu. Był to odruch bezwiedny, z którego sprawy sobie zdać nie umiem. Przyczyna leży w tajemniczej głębi mojej duszy, wstrząśniętej czemś, co się tu prawdopodobnie stało, a o czym nie wiem.

REJENT.

Ależ tu się nic jeszcze nie stało!

LUDWIK (nie zważa na przerywanie i mówi niemal do końca sceny, chwilami jakby marzył, chwilami z zapalem).

A może świadczy tylko, że bardzo nieszczę-

*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

A. van DYCK,



ZŁOŻENIE DO GROBU.

(Z KRÓLEWSKIEJ GALERYI OBRAZÓW W BERLINIE).

śliwy i zmęczony przymusem, jaki przez ciebie i dla ciebie zadawałem sobie wczoraj, cały wieczór.

REJENT.

Wszakże to dla twego dobra.

LUDWIK.

Czy myślisz, że mój udany spokój, i milczenie ciągle wśród ogólnej paplaniny, i zachowanie się godne dobrze wychowanej lalki salonowej, zmieniło mnie istotnie w lalkę? że wzrok i słuch utraciłem? że nie dostrzegłem, iż ta, którą dotąd miałem za anioła, lgnie do mego rywala, przyciągana magnesem zmysłowego czaru? że pod jego spojrzeniem przesywajacem, pod wpływem szczerze nalewanego szampana, rozwija się i rumieni jak pączek róży słońcem ogrzany?... Tylko dla mnie barwy, występujące na jej twarzyczce, nie były już kolorami dziewiczego rozkwitu. Inne życie, inna młodość grała w jej krwi winem poruszonej; inne wrażenia cisnęły się pod jej śliczne czoło; inne uczucia tętniły w serduszkach.

REJENT.

Co tobie Ludwiku?!

LUDWIK.

Chciej wierzyć, że w miłości mojej dla niej, prawdopodobnie dzięki głuszy i osamotnieniu, jakie tu nas otacza, namiętność — bo jestem człowiekiem i ludzkich ułomności się nie wypieram — namiętność, mówię, poddawała się i ulegała czci, uwielbieniu i ufności bezwzględnej. Ubóstwiałem ją, jak ideał przez poetów wymarzony w chwilach, kiedy druga połowa ich duszy unosi się w krainę natchnienia. To bowiem, co wszyscy uważają za złudzenie, drogi wuju, bywa często jedyną prawdą, chociaż nikt nie zbadał jej analizą doświadczeń i nie zważył na szali wiedzy.

REJENT.

Lunatyk!... dali Bóg i on lunatyk!

LUDWIK.

Nieraz przedmioty i wrażenia, o których ona myślała, odtwarzały się w mózgu moim w takich-że samych obrazach. Uważaj: ona była w swoim pokoiku, tu w tym domu, a ja w Dębniakach. To zaś znowu, co moją głowę zaprzętało, odczuwała Terenia równocześnie ze mną: często nawet z większą siłą. Obecnie... czy z jej winy?... nie wiem dotąd... żmija zazdrości, budząca się w głębi mojej piersi, pozrywała nici, łączące nasze duchy. W tej chwili nie czuję jej myśli w sobie, ani przy sobie.

REJENT.

Zazdrość... tak zazdrość zamąciła ci zmysły!

LUDWIK.

Miłość nasza ogromna, a jednak słów, wyznań i przysiąg w niej mało. Tak mało, że to czem serca nasze zdawały się być przepelnione, nazwałbym raczej przecuciem niż odczuciem jej ogromu. Smutek powszechny — jak chmura wiszący nad całym społeczeństwem — i kult ojczyzny nas zjednoczył. Dziedziczność tego kultu nosimy we krwi oboje. On ją w mistyczne sfery wznosi i wiąże ze mną, mniej zdolnym do duchowego lotu. To co ona widzi, ja dostrzegam ledwie jak przez mgłę — i tylko jej oczami. Lecz ona wniosków z widzeń swoich nie wyciąga, kiedy ja z nich tworzę wiarę — wiarę przeszłości.

REJENT.

Bo ją kochasz i pragniesz zbawienia ojczyzny; a smutek powszechny, o którym wspomniałeś, i niepewność, jaka nas zewsząd otacza, pędzą cię w krainę marzeń i halucynacyj, odrywając od rzeczywistości.

LUDWIK.

Wyrazu »kocham« Terenia nie wymówiła nigdy, nawet w najszczytniejszym upojeniu; a jednak wiedziałem dotąd, że jestem dla niej najbliższym z bliźnich. To też — w obec tego, co zaszło wczoraj — przeląknęłem się, iż tak łatwo lepsza i niewinniejsza część naszej wspólnej istoty, doskonalsza połowa mego ducha uległa pokusom czcicieli złotego cielca, złotego użycia i walki o złoty byt. Mętna fala ostatniej — dla tego groźna, że jest falą, niosącej śmierć i zagładę przeszłości — uderzyła o brzeg naszej cichej oazy odrodzenia. Jeśli ją zaleje, zginąć muszę... chociaż dziś nie brałem z sobą rewolweru w samobójczym zamiarze. (Chwila milczenia).

REJENT.

Z tego co powiedziałeś nie wiele zrozumiałem. Wiem tylko, że kochasz mocno, a ja przed miłością szczerą i wielką czoła uchylam, chociaż umysł mój pospolity, bez skrzydeł, w mistyczne kręgi wzbijać się nie umie. (Z rozrzewnieniem). Gdybym był samolubem, upomniałbym się o kawałek twego serca, które pomimo żeś je oddał Tereni, do mnie także należy; gdybym nie był tak znękany, żebrałbym choć o trochę litości nad starcem, który cię wychował i tobą tylko żyje. Ale dziś... czuję, że nic bym u ciebie nie wskórał!

LUDWIK (ze wzruszeniem, chwytając go za rękę).

Wuju!

REJENT.

W nadprzyrodzony świat nie zaglądałem nigdy. Mniemam, że dość będzie czasu zapoznać się z nim po śmierci. Ten co nas otacza — wierzą mi — równie ciekawy i ciemny. O ile zdrowy rozsądek pozwalał, badałem go pilnie, a jednak nie dużo się dowiedziałem. Obecnie wydaje mi się morzem bezdennym, pełnym tajemnic i grozy. Nie zważam przecie na to i jak nurek śmiało rucam się w głębinę, aby z czarnej toni wynieść dla ciebie lśniąca perłę szczęścia.

LUDWIK (rzucając mu się w objęcia).

Wuju, kochany wuju!

REJENT (ściskając go serdecznie).

Dziękuję ci drogi chłopcze. Tego uścisku potrzebowałem. Lżej mi po nim na sercu.

SCENA 4.

LUDWIK, REJENT, GRZEŚ, potem MACIEJ.

GRZEŚ (do Ludwika).

Czy, proszę pana, konia rozsiodłać?

LUDWIK.

Dlaczego?

GRZEŚ.

Oprowadzałem go i oprowadzałem, ale panna Petronella każe duchem jechać na pocztę po korespondencję i gazety, więc poprosiłem stangreta, żeby bez moment potrzymani, a sam przyleciałem tu zapytać.

LUDWIK.

Zaczekaj. Pojedziemy razem, bo i ja do miasteczka. (Maciej wchodzi).

REJENT (z ukrywaną radością).

Więc już nie do lasu?

LUDWIK.

Nie. Przypomniałem sobie, że mam podpisać kontrakt z młynarzem.

REJENT.

Tem lepiej. (Zwraca się do kamerdynera). Maciej zabierze rewolwer i dubeltówkę...

MACIEJ (zbliża się i bierze broń do ręki).

Dobrze, panie rejencie. (Do Ludwika). Zanieść pewno do kancelaryi, gdzie przygotowałem do przebrania się, jak pan powróci.

LUDWIK.

Dobrze — dziękuję.

REJENT.

A ostrożnie, bo nabita.

MACIEJ.

Umiem ja się z tem obchodzić. Bywało za życia ś. p. kasztelana...

REJENT (niecierpliwie).

Wiem, wiem jak było za kasztelana. (Całuje Ludwika). No, jedź już jedź. A wracaj prędko... i nie trać ufności.

LUDWIK (ściskając rękę rejenta).

Za pół godziny tu będę. Do widzenia. (Skinął na Grzesia i wychodzi z nim razem głębia).

REJENT (w smutku pogrążony, patrzy za Ludwikiem).

Przed chwilą wątpił, rozpaczał... a teraz porwał mi go z przed oczu, jakby podmuch jakiejś nagłej i jasnej, jak piorun, nadziei. O! jak ja się tych złudzeń lękam! (Głośno do Macieja). Gdzie goście?

MACIEJ.

W altanie, pod wielkim orzechem. — Nie ma co pan rejent do rozkazania?

REJENT.

Nie mój poczciwy Macieju. (Maciej idzie ku drzwiom na lewo). A!... wyjmij naboje ze strzelby i rewolweru. Zawsze to bezpieczniej.

MACIEJ.

Czemu nie, i owszem. Umiem ja to, umiem. Nieboszczyk kasztelan mnie uczył. (Wychodzi).

SCENA 5.

REJENT (sam).

Kasztelan!... Wszyscy go wspominają. Od wczoraj i ja myślę o nim ciągle, a myśl uprzykrzona, jak cież rani mi czoło, sprawiając ból nieznośny. Nigdy ten człowiek za życia nie nabroił tyle złego co dziś, w kilkanaście lat po zgonie! (Chwila milczenia). On... on miałby być ojcem Ludwika! Kłamstwo! fałsz!... prawdy jednak wyjawic nie mogę. Wyznaniem szczerem możebym zmienić dla niego usposobienie kasztelanowej, a e zmarłą wydałbym na pastwę złośliwych

sądów ludzkich, a serce jej syna zdruzgotałbym tym ciosem niespodzianym. Za taką cenę, ja mu dać, on przyjąć szczęścia nie może. (Chwila milczenia). W świat nadprzyrodzony nie zaglądam, jednak coś mnie z nim łączy. (Szeptem). Łączy mnie z nim ziemską dawną miłość moja, piaskiem grobu przysypana, a przecież wspomnieniami żywa. (Chwila milczenia). Zdawałoby się czasem, że dusze na ziemi i duchy tonące w mgłach pośmiertnych przenika i jednoczy jakiś prąd magnetyczny... (Wstrząsa się febrycznie)... Ale podobne myśli przychodzą tylko w chwilach smutku, tęsknoty, rozpacz... Czy żeby pocieszyć? (Chwila milczenia). Mój Ludwik!... biedny, biedny, biedny!... Jak go z Terenią połączyć w obec tylu przeszkód?! (Słychać grzmot oddalony. — Rejent idzie do okna). Ani jednej chmurki. — Po chłodnej nocy upał. — Gdzieś w dali huczący grzmot zapowiada burzę. — Ach! jak ciężko na sercu! (Patrzy w niebo).

SCENA 6.

REJENT, KAROLINA.

KAROLINA (zbliża się do niewidzącego jej rejenta).

Dzień dobry.

REJENT (wstrząsa się, jakby ze snu zbudzony).

Ha! (Odwraca się i spostrzega hrabinę). Przepraszam. — Dzień dobry... Zamyśliłem się...

KAROLINA.

Wszakże nie o niebieskich migdałach?

REJENT (dobrodusznie, jeszcze z odcieniem smutku).

Kto wie!... może i o niebieskich.

KAROLINA.

A ja mojem niewczesnem »dzień dobry« przywołałam pana z krainy marzeń do smutnej rzeczywistości.

REJENT.

Dziękuję — to przysługa.

KAROLINA.

Szczęśliwą jestem, że ją mimowoli oddałam.

REJENT.

Czy pani hrabina ma do mnie interes?

KAROLINA.

Nie i tak. Szukałam wprawdzie chłodu tylko, ale miałam nadzieję, że pana spotkam. (Porusza wachlarzem). W altanie dokuczało mi gorąco... Upał nie do zniesienia! (Porusza wachlarzem). Wszyscy zgromadzeni w ogrodzie, pod wielkim orzechem, nieustannie zadają sobie pytanie: co się z panem dzieje. Jest tam babunia, mój mąż, Matylda, szambelan... nawet księżę. Brak tylko Tereni, która podobno po wczorajszych libacyach wysypia się dziś dłużej niż zwykle.

REJENT (chce odejść).

Śpieszę więc...

KAROLINA.

Zatrzymaj się chwileczkę. Wprawdzie w ścisłym znaczeniu tego wyrazu nie mam do pana interesu, lecz... lecz... powodowana wrodzoną kobiecą ciekawością, pragnęłabym go o coś zapytać.

REJENT.

Jestem na jej usługi.

KAROLINA.

Sądząc po kwaśnych minach szambelana i Ma-
dzi, oraz po pesymistycznych zdaniach, jakie mój mąż
co moment wygłasza, mniemać by można, że układy,
które pan — panie rejencie — prowadzi, nie przycho-
dzą do skutku. Tymczasem rozpromienione oczy ba-
buni i anielska błogość, rozlana na twarzy księcia,
przeczą temu przypuszczeniu. Chciej mi łaskawie po-
wiedzieć, jak istotnie rzeczy stoją?

REJENT.

Od wczoraj nie zmieniły się na jotę.

KAROLINA.

Czy pan jesteś za połączeniem Tereni z księciem?

REJENT.

Jako pełnomocnik jednej ze stron spełniam dane
mi polecenia.

KAROLINA.

Nie o to pytam. Chciałabym poznać własne pań-
skie zdanie.

REJENT.

Nie moją rzeczą sądzić o układzie, którego cała
rodzina pragnie.

KAROLINA.

Cała, jak cała!... Ja naprzykład nie zachwycam
się tą kombinacją.

REJENT (z mimowolną radością).

Czy być może?

KAROLINA.

Niezawodnie. (Na str.). Zdaje mi się, że znalazłam
sprzymierzeńca.

REJENT (panując nad sobą, bardzo chłodno).

Chwilowe wątpliwości, które czas rozproszy.

KAROLINA (n. str.).

Sprzymierzeniec się cofa. (Głośno). Nie; mówię
stanowczo i szczerze. Nie widzę w układzie szczęścia
dla stron kontraktujących i korzyści dla pośredników.

REJENT (j. w.).

Może pani hrabinie nie powiedziano, że kaszte-
lanowa zobowiązuje się wypłacić...

KAROLINA.

Wiem.

REJENT.

A zatem?!

KAROLINA.

Nigdy nikomu nie życzę... (zatrzymuje się)... nic
złego, a tembardziej mojej babce, ale ponieważ mó-
wimy o interesach, które pan rozumiesz lepiej ode-
mnie, odwołuję się więc nie do przyjaciela rodziny,
lecz do prawnika — do pańskiej gruntownej znajo-
mości przedmiotu. Wszakże prędzej czy później to co
dziś mamy otrzymać jako jałmużnę, przypaść nam
musi w udziale jako spadek.

REJENT.

Rzecz zależna od brzmienia testamentu.

KAROLINA.

Przecież nas babka w nim nie wydziedziczy?

REJENT.

Pani hrabino... nie wiem.

KAROLINA.

Postanowienie podobne byłoby sprzeczne z literą
prawa, zatem nieważne.

REJENT.

Nieważności trzeba będzie dowieść procesem,
który przeciągnąć się może długo — lata całe. (Słychać
grzmot oddalony).

KAROLINA (już nie panując nad sobą, gorączkowo).

A zresztą mniejsza o spadek, jeśli do zerwania
układów zmusza ważny wzgląd moralny.

REJENT.

Czy jest wzgląd taki?

KAROLINA.

Jest.

REJENT.

Pani hrabina raczy mi objaśnić...

KAROLINA.

Nie mogę.

REJENT.

Daruje pani zatem, ale nie znając owej ważnej
przeszkody moralnej, zmuszony jestem prowadzić układy
dalej.

KAROLINA.

Wyjawię ją w ostatniej chwili.

REJENT.

Może wtedy będzie już za późno.

KAROLINA.

Czekajmy — zobaczymy!

REJENT.

Bądź co bądź, proszę mi wierzyć, że w sprawie
tej chcę być pomocnym, bo chociaż nie znam i nie
rozumiem powodów, które wpływają na postanowienie
hrabiny, domyślam się, że tylko dobro panny Teresy
ma pani na celu. (W głębi ukazuje się Terenia bardzo blada).

SCENA 7.

TERENIA, KAROLINA, REJENT.

KAROLINA.

A! właśnie i ona. Pragnę z nią pomówić. Chciej
odejść... (Ścisła mu rękę). Przepraszam. — Tam w alta-
nie czekają na pana. (Rejent kłania się i idzie w głąb, gdzie
spotyka Terenię. Na twarzy jej maluje się smutek i znużenie. Rejent
zatrzymuje się chwilę, patrzy na nią z widocznym współczuciem
i wzruszeniem, potem bierze jej rękę i składa na niej pocałunek. —
Następna krótka rozmowa z Terenią, prowadzi się półgłosem, prawie
po cichu).

TERENIA (zwykłym ruchem cofając rękę).

Ach! panie rejencie...

REJENT.

Czy ucałowaniem rączki sprawiłem przykrość?

TERENIA.

Nie... o! nie... ale ja... się wstydzę... nie za-
służyłam...

REJENT.

Pani hrabina pragnie z panią pomówić.

TERENIA (szepcem).

Boję się...

REJENT.

Odważnie!... przecie to siostra. (Kłania się i wychodzi).

ZYGMENT SARNECKI.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WIELKOPOLSKA W OBRAZACH przez L. STASIAKA.



G N I E Z N O .

KATEDRA GNIEŹNIEŃSKA OD STRONY JEZIORA,
WIDOK OGÓLNY MIASTA GNIEZNA.

TRAGIKOMEDYA KURLANDZKA Z CZASÓW SASKICH.

(R. 1727).

(Ciąg dalszy).

IX.

Sejmik mitawski. — Kłopoty Kurlandczyków. — Układy z jenerałem Lascy o rzeczy grafa Mauryca. — Odpowiedź stanowcza.

Dnia 14 września przypadał sejmik jeneralny mitawski. Była także sesya i konferencya komisarzy. P. jenerał Lascy podał specyfikację rzeczy niektórych, przy grafie Maurycem zabranych, obiecując dać obszerniejszy rejestr, oraz nastawał, aby tych ludzi, których na wyspie zabrano, przyjęto od niego na granicy. Co zaś do papierów, oświadczył, że je wyda dopiero po doniesieniu Carowi Imci.

W trakcie tego gdy zagajano sejmik mitawski pod laską p. Merfeldta, przybyli do komisarzy Rzplitej deputaci kurlandzcy z doniesieniem, że p. jenerał Lascy przysłał do nich zawiadomienie, iż pragnie uczestniczyć przy obradach sejmikowych. Prosilili tedy o upoważnienie do nie przyjęcia tej propozycji, z oświadczeniem, że jeśli p. jenerał ma coś ważnego do traktowania, aby się z tem udał do Ichmościów pp. komisarzy.

Nadmienili deputaci, iż uradzonem zostało, że gdyby p. jenerał Lascy nadspodziewanie na sejmik przyszedł, »to się *interim* rozejdą, a gdy odejdzie, to się znowu zgromadzą, unikając nieproszonej protekcyi«.

Zgłosił się równocześnie do komisarzy p. Kraśński, cześnik ciechanowski i złożył relację z narady, jaką miał z upoważnienia komisyi z jenerałem Lascy, w przedmiocie rzeczy grafowi zabranych. »Przyniósł *registrum* obszerne różnych moderunków i *praeparamentorum bellicorum*, kul, ołowiów i prochu, po różnych miejscach złożonych. Mąkę i woły żołnierze pojedli, drugie pozdychały, pieniędzy niemasz. Względem ludzi zabranych nastawał, aby co prędzej ich odebrano, bo choćby głodem pomrzeć mieli, żywić ich nie będzie«.

Dnia 17 września, po mszy, ksiązę biskup z komisarzami zaprosił na audyencyę p. jenerała Lascy, dla dania mu odpowiedzi w słowach:

— Nie dla czego inszego respons terażniejszy trochę zatrzymaliśmy, tylko żeśmy się spodziewali słusniejszej propozycji, że zaś przy tej dawnej jednej obstajesz WPan, jest to nam w podziwieniu, ile że *contra iura gentium* i przeciwko sojuszom w naszej prowincyi chce się Car Jegomość rządzić i przez W Pana fomentuje, buntuje obywatelów tej prowincyi, o co przed całym światem protestować się będziemy. Deklarujemy też, że od egzekucyi tego, co nam Jego Król. Mość i Rzplita zlecili, odstąpić nie możemy i poniekąd *pro ruptura* sojuszów takową propozycyę rozumiećby potrzeba. Prosimy o deklaracyę W Pana, jakim sposobem przeszkadzać naszej komisyi masz ordynans?»

Czego dobrze nie rozumiał po polsku p. jenerał, tłómaczył mu po francusku p. wojewoda Potocki, wyjaśniając przytem doniosłość złożonej przez Kurlandczyków przysięgi, jako po zejściu bezpotomnem Gotharda Kettlera ta prowincya do Rzplitej należeć miała. Nadmienił, że i Car Jegomość nie zgodziłby się na to, aby Rzplita obywateli inflanckich w Inflantach, do których Rosya podobnym sposobem ma prawo, buntować chciała.

— Zaczem — kończył — prosimy, abys nam szlachty nie fomentował.

Na to jenerał:

— Mam ordynans komisyi przeszkadzać, ale nie mam ordynansu jej tamować.

Po audyencyi jenerał udał się do swego mieszkania, by złożyć raport do Petersburga o otrzymanej odpowiedzi.

X.

Dekret komisarski. — Rokowania z Kurlandczykami. — Doniesienie p. Wilmana. — Spory delegatów. — Odpowiedź wojewody trockiego. — Sesya na ratuszu.

Dnia 19 Izba poselska sejmiku witała komisarzy podczas sesyi i przedstawiła różne instancje do księcia biskupa za p. Medem, za ludźmi grafa Moryca, za utrzymaniem swoich przywilejów, za wolnością wyznania, za nietykalnością dóbr.

Odpowiedziano im, że co do tych żądań będzie daną deklaracya dopiero po zadośćuczynieniu dekretowi komisarskiemu, który im pisarz odczytał, a który wzywał ich do złożenia przysięgi na wierność królowi i Rzplitej.

Deputaci prosili o zwłokę, by mogli dekret przetłómaczyć na język niemiecki, dla wiadomości ogółu.

Niebawem jednak powrócili z doniesieniem, że p. Wilman, Kurlandczyk, szwagier jenerała rosyjskiego Münicha, imieniem p. Lascy straszył szlachtę kurlandzką, by do egzekucyi dekretu komisarskiego nie przystępowała, bo to, co do wykonania swego przedsięwzięcia, będą musieli odwołać. »Za łeb ich ztąd wezmą i do Sybiryi odeślą, kontrybucye wielkie płacić będą«.

Na tę wiadomość zesłi się komisarze do księcia biskupa i zaprosili do siebie jenerała Lascy, do którego biskup przemówił w te słowa:

— W wielkiem to nam podziwieniu, że po tak wielu expostulacyach naszych, tu, w kraju naszym, rządzi WPan i pogroźki Kurlandczykom czyni, że ich sekwestrować będą.

Wojewoda mazowiecki rzekł:

— Car zmarły trzy traktaty z Turkiem zawierał, ale nie mogły być skutecznie bez nas zawarte. Dopiero gdyśmy w te traktaty weszli, wieczny sojusz z Turkiem i z nami Car Jegomość uczynił, a teraz, przeciwko temuż sojuszowi Car Jegomość rządy w naszej prowincyi uzurpuje przez W Pana. Tedy się o to protestować będziemy do Porty Ottomańskiej i napiszemy, że ten sojusz jako z nami, tak i z nimi rwiecie.

— Pisz to WPan do Cara Jegomości, pryncypała swego, — mówił więcej *zelose* po francusku do jenerała, a panowie wojewodowie: Potocki i Trocki do tego się przymawiali.

Zmieszany jenerał odpowiedział zaprzeczeniem:

— Żem żadnemu szlachcicowi nie zlecał pogroźek czynić i proszę o to, aby mi to w oczy mówił.

Pan jenerał Bibikow powiedział:

— To Kurlandczykowie w *Kaffehausie* takowe nowiny sobie wymyślają. My w tem nie winni...

Gdy jenerałowie rosyjscy odeszli, pojechali wszyscy komisarze na ratusz, na sesyę, gdzie również przybyli deputaci kurlandzcy z marszałkiem swoim

i podali na piśmie suplikę, w której czyniąc zadosyć dekretowi komisarskiemu, wydali przedewszystkiem akt elekcyi grafa Maurycego i renuncyacyę jej czynili. Zwrócili i inne dokumenta elekcyjne, z oświadczeniem, że chcą być nadal w uległości i posłuszeństwie Imci Królowi Polskiemu i Najjaśniejszej Rzplitej, przyczem prosili, by jurament mogli na przyszłym sejmie wykonać.

Na tę suplikę komisya respons do przyszłego czwartku odłożyła.

Dnia 24 nad wieczorem rozeszła się wieść, że wojska rosyjskie już w granice Kurlandyi wkroczyły i znajdują się tylko o milę od Mitawy.

Deputował ksiązę biskup p. Ożarowskiego, stolnika krakowskiego i p. Scipiona, starostę lidzkiego, do generała Lascy z przedstawieniami.

Lascy zaprzeczył wręcz tej wiadomości, utrzymując, »że to chyba kto pijany taką doniósł relacyę, a widząc z daleka lasy, rozumiał, że to ludzie ruscy«.

Upewnił przytem, »że nie ma i nie spodziewa się mieć ordynansu, aby wojska ruskie w granice Polski wprowadził i że na swej granicy wojsko i obóz ruski, jako zdawna, tak i teraz, stoją«.

Sprawdzono bezzwłocznie tę okoliczność i przekonano się przez »Furwachtów«, że Rosyanie na swej granicy stoją.

XI.

Upadek ks. Menżykowa. — Rozmowa z jen. de Lascy. — Odpowiedź wojewody mazowieckiego. — Amnestya. — Protesty i reprotestacye. — Zgon Klicnera.

Dnia 25, przed sesyą komisarską, przybyli do księcia biskupa generałowie rosyjscy i mówiąc o wczorajszych pogłoskach, prosili o wyjaśnienie, kto mógł być ich rozsiewaczem.

Obecny p. wojewoda Trocki rzekł, że tej nocy rozgłaszano, jakoby ksiązę Menżykow popadł w niełaszkę u Cara Jegomości.

Jakkolwiek p. Lascy i temu zaprzeczył, nadeszła tegoż dnia wiadomość, stwierdzająca pogłoskę o upadku Menżykowa*).

Jenerał Lascy oświadczył, że otrzymał właśnie rozkaz, aby tamował dalszy bieg czynności komisyi.

Na to ksiązę biskup rzekł:

— W kraju naszym wolno nam według upodobania naszego postępować. Jeżeli WPan masz ukaz od Cara Jegomości do przeszkadzania, my mamy komis do egzekwowania komisyi naszej od Rzplitej.

Nadmienił wojewoda Trocki:

— Czemu WPan w kraju naszym chcesz się rządzić? My o tem nie mówimy, że księcia Meżyka, który szlachcicem polskim być się mienił, Car Jegomość do Sybiryi odesłał.

Odpowiedział Lascy:

— Nie do Sybiryi, ale do dóbr swoich na Ukrainę odesłał jest.

Pan wojewoda mazowiecki rzekł:

— Prosimy, byś się WPan deklarował, czyli masz komis od Cara Jegomości wojnę z nami zaczy-

nać, czyli w pokoju z nami Car Jegomość chce żyć? My na oboje gotowi. Cierpieć tego nie możemy, aby tu nam Car rozkazywał. Słowami tu nas nie ustrasysz, ani się sprawiać będziemy. Jeżeli WPan regimenty moskiewskie sprowadzisz, to my o tem Rzplitej doniesiemy.

Obecny pan pułkownik Eperyess nadmienił:

— Choćbyśmy kazali Oberratom łby pourywać, nie tylko pod wartą ich mieć, to WPanu nic do tego!

Ostatnie to oświadczenie odnosiło się do uwięzionych za wybór grafa Maurycego Oberratów, za którymi instancyę wnosił jen. Lascy.

Tegoż dnia uwolniono ich pod warunkiem zaprzysiężenia, że nikogo na księstwo promowować nie będą. Kawaler Medem również odzyskał wolność.

Dnia 28 września 1727 ksiązę biskup uroczyście podejmował księżnę kurlandzką, wdowę. Przybyła ona na obiad z czterema pannami swego fraucymeru. Były na bankiecie i wojewodzine: Trocka i Potocka. Księżna wdowa piła za zdrowie biskupa.

Dnia 1 października 1727 r. wojska koronne i litewskie otrzymały rozkaz cofnięcia się do kraju, gdy zaś jen. Lascy »wygadał się«, że się spodziewa ordynansu »komisyi przeciwnego«, wysłano doń pp. Nankwaskiego i Scipiona z oświadczeniem:

— Rozpuszczamy wojsko nasze, trzymając to po Carze Jegomości, że jako zmarły dziad terażniejszego Cara, sojusz wieczny z Polską był zawarł, tedy i Car Jegomość obserwować go winien.

Prosimi wreszcie, by jenerał wojsko swe, którego pięć regimentów o dwie mile od granicy stoi i teraz świeżo jeden przybył, od tej granicy »odemknąć« raczył.

Na to jen. Lascy:

— Bez ordynansu Cara tego uczynić nie mogę, lecz doniosę to Carowi.

Dnia 5 października 1727 przybył raz jeszcze jen. Lascy na audyencyę do księcia biskupa z oświadczeniem: że Imperator dowiedziawszy się, iż szlachta kurlandzka na to się podpisała komisyi, że w razie śmierci Ferdynanda już księcia inszego sobie obierać nie będzie, żąda, aby księstwo zostając pod protekcyą Rzplitej, zawsze swego księcia miało.

Nadmienił jenerał, że ma zlecenie przeciw czynności komisyi protestować się.

Na to ksiązę biskup:

— Z naszej strony i my się reprotestuję, tak, jakeśmy się przedtem protestowali przeciw Carowi Jegomości, że się wdaje w rządy tej prowincyi, która nie do niego, ale do Rzplitej należy. Jest to przeciw sojuszowi i traktatowi karłowickiemu, tem więcej, że Car Jegomość, Inflant, które nam według sojuszu się należą, nie zwraca.

Na tych protestacyach i reprotestacyach zakończyła się czynność komisyi kurlandzkiej. Odbywały się jedynie dalsze narady w przedmiocie redakcyi ugody. Ze strony Kurlandczyków delegowani byli: Adam Kazimierz Kościuszko, landhofmeister i kanclerz najwyższy, Kazimierz Brakell, kanclerz, Karol Firks, oberburgraf, Filip Henryk Hahn, marszałek, Henryk Jan Meerfeldt, podsędek koldyński, Jerzy Klopman, starosta, Krzysztof Fok, deputat mitawski, Krzysztof Firks, deputat, Filip Hahn, Gerhard Handring, Gothard Budberg, Alexander Korff, Henryk Plettenberg, Gerhard Nagel, Magnus Korff, Jerzy Stempel, Fryderyk de Brucken, Fryderyk Manteuffel, Jerzy Hahn, Andrzej Manteuffel, Gebhard Kaiserling.

*) Po wstąpieniu na tron Pawła III, ksiązę Menżykow zagarnął w swoje ręce wszystkie gałęzie zarządu i zaręczył cara ze swoją córką. Udało się jednak jego przeciwnikom, książetom Dołgorukim, wzniesić podejrzenie u cara o zbytnej władzy teścia. Oskarżony o liczne nadużycia, o śmierć carewicza Alexieja, o tajną korespondencyę z zagranicą, pozbawionym został wszelkich honorów i zesłanym do Berezowa w gub. tobolskiej. W drodze zmarła mu żona, a w Berezowie i córka. Zmarł sam w roku 1729. Dzieci pozostałe, syn i córka, wróciły do Rosyi w r. 1731, za panowania Anny Iwanówny.

CZESŁAW JANKOWSKI.



Z CYKLU »EMIGRACJA«.
III. NA OBCEJ ZIEMI.

dzieniec w »Niedokończonym poemacie«, począł księcia-bankiera zarzucać szeregiem pytań, piękności tej dotyczących i dowiedział się: że to jest żona »bardzo znakomitego człowieka«, o którym jednak różne krążą wieści, niezawsze pochlebne.

— To człowiek niezmiernie poważny, przytem... niezmiernie grzeczny, ale szczególnym sposobem. Głęboko też rozumny, wielka figura... U dworu ma wzięcie...

Można sobie wyobrazić zdziwienie Krasieńskiego, kiedy mu powiedziano, że osoba ta — w której zdawał się być już zakochanym — jest jego... ciotką. Człowiekiem, który poecie udzielił tych informacji, był Edward Jaroszyński, jako znający panią Bobrową od dawien dawna. On też »pośredniczył w poznaniu się jej z Krasieńskim...«¹⁾. Gdyby był wiedział, jakie z tej znajomości wynikną z czasem następstwa, dołożyłby niezawodnie wszelkich starań, ażeby zbliżeniu się do siebie tych dwojga ludzi, na których szczęściu tak mu zależało, zapobiedz. Ale stało się. Krasieński wprowadzony przez Jaroszyńskiego, zaczął bywać w domu starszej od siebie o lat cztery cioci — i zawiązała się pomiędzy nimi przyjaźń, jak to pomiędzy krewnymi.

— Czegóż-że ty myślisz, że ja pragnę? Oto niech mi przyjaźni świętej da z serca swego trochę, a na toć jedynie, bym mógł nieco ulgi jej przynieść. Nie żądam nic innego.

Danielewicz jednak, widząc na co się zanosi, wiedział bowiem, że taka przyjaźń pomiędzy młodym, genialnym i jakiejś przygody romansowej spragnionym siostrzeńcem, a piękną, 26-letnią i w pożyciu z mężem nieszczęśliwą ciotką, to prolog do miłości, — miłości, która zaprowadzić ich może Bóg wie jak daleko, Danielewicz starał się przyjacielowi swemu afektację tę wytłómaczyć i, kiedy Zygmunt, rozentuzymowany, prawił, że skoro mąż jej »katem jej«, to »ona ofiarą«, że »zatem ofiarę od kata obronić potrzeba«, on przepowiadał mu »błąd, szal, może zgubę«. »A ja taki szczęśliwy, a ja taki silny się czuję! — odpowiadał Zygmunt — że zda mi się tchu by mi wystarczyło na odwiedzenie wszystkich tych światów, jednego po drugim, i że na progach samego Boga jeszcze bym nie padł zmęczony!« »A jednak — brzmiała w takich razach odpowiedź Danielewicza — zamiast nieśmiertelnej młodości, zawczesna starość właśnie bliska ciębie«. »Ja starym kiedykolwiek mógłbym być? Ja?« »Ty i niezadługo!« »Zkąd? jak? czem?« »Raj, migający w powietrzu, zaprowadzi cię aż do drzwi wroga... Przejdziesz przez nie, nie błogosławiąc im, owszem, przeklinając je! A to źle tak wchodzić do cudzych bram, gdy jedza konieczności lub anioł obowiązku nie wpycha nas do nich... I odtąd zaczniesz duch twój wędznąć. Dla stworzenia, co nie tworzy nic, porzucisz Ideal i Boga, i będziesz szukał Ich w dwojgu ócz śmiertelnych! I będziesz błakał się za ogniskami po manowcach, i kwiatki zbierał po gajach, i tracił czas i trwoniał moc...« »A ja ci mówię...« »Pochlebiaj, przebacжай, kłam sobie samemu, dziecię śmiertelne! Zwolaj namiętności i zachcianki swe, aż pierś własną poczynisz sobie przedpokojem, pełnym dworzan podłych, którzy wmówią w ciębie, żeś wielki, gdyś mały, żeś waleczny, gdy mdlejesz, żeś wolny, gdy zstępujesz w opętanie!« »Zkąd gorycz taka?« »Bo mi się zakochujesz w sobie

¹⁾ Dr Antoni J. Op. cit. str. 7.

samym, łudzając się, że w drugiej osobie, i tem rozwiązujesz się sam z potęgą istoty swej«¹⁾.

Krasieński jednak, głuchy na zdrowe rady przyjaciela, ani myślał stosować się do nich i bywał u pani Bobrowej coraz częściej, pieścił się z jej dziećmi, dwiema prześlicznymi córeczkami, *Lolly* i *Sophinette*, istnemi cherubinkami, przynosił im zabawki, cukierki (bo nic tak nie jedna serca matki, jak miłość okazywana jej dzieciom), z nią zaś, ponieważ widział, że jest spragniona przyjaźni, starał się być jak przyjaciel, jak brat, jak powiernik. Albowiem doszło do tego wkrótce, że stał się jej powiernikiem, przed którym nie tała niczego, i kiedy on, zapatrzony w jej oczy błękitne, mówił półgłosem, jakby do siebie: »Beatrix«, odpowiadała mu: »Ta, która to imię nosiła przed laty, nic oprócz raju nie znała na ziemi, bo zgasła w pierwszej wiosnie życia, nic oprócz raju na ziemi, bo niebo zaraz ją wzięło do siebie! Ale mnie nikt pierwszej drugą nie zapłacił wiosną. To nie moje imię!«²⁾.

Na Krasieńskiego, który zwykł był mawiać o sobie: »na zawsze smutek i ból mnie woła, mnie nęci. Takie przeznaczenie me. Z tymi, co przegrali, grając w losy, wieczniam ja, bo beznadziejni być muszą, bo im potrzeba mnie!« — na Krasieńskiego, powtarzam, robiły zwierzenia podobne ze strony pani Bobrowej bardzo silne wrażenie, budząc w nim przedewszystkiem uczucie litości, uczucie, które z chwilą, kiedy się odnosi do kobiety młodej i pięknej, jest już miłością, tylko oglądaną z profilu...³⁾. Że to grozi niebezpieczeństwem, że z takich rozmów poufnych najgorsze, najfatalniejsze dla obojga mogą wyniknąć następstwa, z tego zarówno on jak i ona sprawy sobie nie zdawali bynajmniej. Po prostu nie przychodziło im na myśl nic podobnego, albowiem byli jeszcze niedoświadczeni oboje. Żadne z nich nie kochało dotychczas, nie wiedziało, co miłość, pomimo, że jedno, jak drugie oddawna marzyło o jakiejś wielkiej miłości, o jakimś wielkiem szczęściu.

Tymczasem, krążąc bezwiednie, jak dwie ćmy, dokoła tego płomienia, któremu na imię miłość, a w którego żarze mieli sobie kiedyś tak boleśnie skrzydła opalić, Ignęli do siebie mimowoli, w przekonaniu, że jak dwoje aniołów, ani na chwilę nie schodzą z prostej ścieżki... Pani Bobrowej, która pod wpływem tych cichych gawęd z Zygmuntem, wstępować poczyniała pomału w najprzyjemniejszy ze wszystkich stan rekonwalescencji moralnej, zdawało się — słusznie zresztą — że on pierwszy i on jeden »w jednej czucia błyskawicy« pojął, co ona cierpi, co ona czuje, na jaką była dotychczas samotność serca

¹⁾ *Niedokończony poemat* str. 168—170.

²⁾ *Ibidem* (»Sen«) str. 136.

³⁾ »Literatura francuska dzisiaj« (1838) zna takie kobiety... Ale w nich jest jakaś nieskończoność bólu, jakaś przyszłość nieodwołalna coraz sroższych cierpień, które mnie przejmują litością... Kiedy widzę istotę, której nie potrzeba pociechy, której życie stoi otworem, i którą każdy zrozumie, każdy uśmiechem przywita, zdaje mi się, że ona mnie nie potrzebuje, że ona tysiąc ludzi zdatniejszych do podzielenia czy jej dumy, czy jej bogactw, czy piękności, czy niczem niezatrutej duszy, znajdzie; nie mnie nie wabi, nie ciągnie do niej; siedząc na uboczu, lubię patrzeć na jej marsz tryumfalny, jak na piękne zjawisko, ale się nie zbliżam; dość mi na tem, że ta sztuka graną jest przed moimi oczyma... Zupełnie przeciwnie się dzieje, gdy na czym czołe ujrzę ślad żalobny, wyciśniony kolejami życia; wtedy marzy mi się, że moje słowo lub przyjaźń, lub ręki uścisk, może w tych piersiach obudzić na nowo życie«. (List do Sołtana, Neapol, 31 grudnia 1838).

skazana...¹⁾. Krasiński zaś, któremu także potrzebna była jej dusza siostrzana, Krasiński litował się nad nią sercem...

— I teraz, co wieczór, ona smutno, żalobnie opowiada mi swoje życie moralne, a ja słucham i czasem ją cieszę²⁾.

Z drugiej strony, nie mały także na panią Bobrową wpływ wywierała sama osoba Krasińskiego, autora kilku bezimiennie drukowanych powieści historycznych à la Walter Scott. Wykształcony, niezwykle inteligentny, z iskrą geniuszu nad czołem, młody, przystojny (wówczas bowiem był jeszcze Krasiński przystojnym), choć słabowity i wąty, pełen wzniosłych i poetycznych idei, poważny, rzadziej miewa-

¹⁾ »... Rzekła: Ach, pan mi będziesz duszą bratem!

Pan jeden, w jednej czucia błyskawicy

Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,

Na jaką jestem samotność skazana...

Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,

Że mi potrzebna jej dusza siostrzana« i t. d. i t. d. (*Niepo-
prawni* akt I sc. IX).

²⁾ Pisząc słowa powyższe d. 31 grudnia 1838 r. z Neapolu do Soltana, miał Krasiński właściwie panią Delfinę Potocką, a nie panią Bobrową na myśli. Dadzą się one jednak zastosować w danym razie i do pani Bobrowej. Na jakiej podstawie? Na podstawie, że w tymże liście myśli Krasiński niejednokrotnie i o przedmiocie swojej pierwszej miłości. Np. »Czy poznasz z tych rysów panią Delfinę Potocką? Nie-
raz ona mi przypomina... wiesz kogo (że tu Krasiński mówi o pani Bobrowej, o tem, znając jego życie, niepodobna wątpić), nie wtedy, gdy wpadnie w chwile swoje *buffo*, ale kiedy smutna seryo. *Tę samą widzę wtedy nieutuloną rozpacz w niej, tę samą nieudolność do uczucia jakiegokolwiek szczęścia* — i ta przekwitłość serca wywiera silniejsze wrażenie na mnie, niż świeżość młodociana, niż szczęście, zdrowie« etc. etc.

(Ciąg dalszy nastąpi).

jący chwile pogody i wesołości, aniżeli zamyślenia i smutku — co go w oczach kobiet w ogóle, a pani Bobrowej w szczególności, budząc zaciekawienie, otaczało do pewnego stopnia nimbem tajemniczości, tajemniczości bohaterów Byrona — z nieporównanym wdziękiem opowiadający o takich ludziach, jak Dante, Napoleon, Byron, o starożytnym Rzymie Cezarów, o arcydziełach Michała Anioła i Rafaela, o współczesnych walkach arystokracji z demokracją (*Nieboska komedia* była już napisaną), raz wymowny i »sypiący żarciki«, raz małomówny i chmurny, jakby stęskniony za czemś¹⁾, zapalający się, kiedy mu przyszło mówić o poezji i sztuce, roztaczał dokoła swej postaci młodzieńczej dziwny jakiś, niewysłowiony czar, jednający mu serca wszystkich, nawet tych, których zaćmiewał (choć mu na tem nie zależało bynajmniej) wyższością umysłu, polotem fantazyi, potęgą uczucia. Pani Bobrowa, widząc, że »ogień wiekuisty, ogień Cherubów w oczach mu jaśnieje«, z niemniejszym, jak Kornelia Metella Irydiona, słuchała go przejęciem i była rada, a nawet dumna poniekąd, ile razy dom jej odwiedzinami zaszczycił, ile razy dłużej z nim porozmawiać mogła.

— I jako prorok, i jako święty, i jako archanioł, on staje przedemną i mówi, a ja go słucham²⁾.

¹⁾ »Przebolałam mam duszę, choć dopiero 20 lat na tej ziemi przeżyłam. Serce mi się już nie kołysze w piersiach, jak dawniej bywało; wiosenne powiewy odleciały od skroni moich, złudzenia przepadły, nadzieje się rozwiały«. (Genewa 2 kwietnia 1832, do Gaszyńskiego).

²⁾ »Irydyon« (Kornelia-Metella) str. 72.

FERDYNAND HÖSICK.

NOWE WYDANIE DZIEŁ ADAMA MICKIEWICZA.

(Dokończenie).

Ważny przyczynek historyczny do poznania działalności największego poety Słowiańszczyzny, stanowią dokładne daty, wykazujące, kiedy nie tylko obszerniejsze dzieła, ale najdrobniejsze powstały utwory, oraz wypisy z korespondencji Adama i innych współczesnych znakomitości — wypisy, rzucające nie tylko światło na samą twórczość Mickiewicza, ale także na jego stosunek do ówczesnego społeczeństwa. Nader interesującymi są n. p. szczegóły, które się odnoszą do jego walki z obozem tak zwanych klasyków, następnie do borykania się z prądami religijnymi, filozoficznymi, społecznymi i politycznymi, jakie panowały głównie na emigracji; — wreszcie do stosunków jego z przedstawicielami reformy religijno-społecznej na zachodzie, jak ks. Lamennais, de Maistre i innych stosunków, które sprowadzały na głowę żarliwego apostoła szeroko pojętej miłości — niechęć nawet przyjaciół, a klątwy na jego księgi.

W materyale tym zachodzą takie drobne — ostatecznie mało co znaczące — usterki, na które z obowiązku sprawozdawcy zwracam uwagę; tak n. p. w rubryce przekładów pomieszczono w dziale tłumaczeń na języki słowiańskie bez najmniejszej oddzielającej wskazówki lub notatki o przekładach na języki: perski, gruziński i węgierski. W rozdziale, noszącym tytuł »Motywy ludowe«, za



DR. H. BIEGELEISEN.

który wdzięczni będą wydawcy nie tylko folklorysty, ale i inni nie zajmujący się ludoznawstwem czytelnicy — w rozdziale, wskazującym po raz pierwszy na analogiczne pieśni, podania lub wierzenia gminne — możnaby uczynić zarzut, że nie wszystko wyzyskanem zostało, że wydawca nie uwzględnił n. p. przysłów, anegdot, etc. Trudno jednak o absolutną w tym względzie dokładność; wszakże folklorystyka u nas zaczyna dopiero kwitnąć od niedawna, a tacy zbieracze pieśni i podań ludowych, jak nawet Kolberg, niejednej pieśni i niejednego nie znali podania, dużo zaś z nich uważali za wytwory fantazyi ludowej, choć one niemi nie były.

Nie wyczerpaną też została bibliografia mickiewiczowska, bo wyczerpaną być nie mogła. Wydawca sam przyznaje w przedmowie, że o to wcale się nie kusił, dla tego też nikt nie poczyta mu tego za winę. Natomiast każdy zrobić mu musi zarzut: dla czego podając dzieła, bardzo często mniejszej doniosłości, pominął milczeniem swe własne prace krytyczne, że wymienimy tylko jego studjum o »Panu Tadeuszu«. Znamy skromność Dra Biegeleisena, graniczącą nieomal z zaparciem siebie samego, w danym wypadku jednak obowiązek w obec czytającej publiczności powinien był ustąpić chwalebnej zresztą cności nie dba-

nia o własną osobę. Onego czasu »przyjaciele« wydawcy dzieło to mocno skrytykowali, czyżby Dr Biegeleisen tak bardzo wziął ich uwagi i rekryminacje do serca, że stracił zupełnie miłość do owocu swych kilkuletnich studyów mozolnych? Czyżby chciał, aby o niem zapomniano i dla tego unika nawet suchego zarejestrowania swej pracy? Nie można przypuścić, aby wrażliwość na sądy obcych do tego posuwał stopnia.

Gdybyśmy chcieli dokładny dać obraz sumienności wydawcy, objawiającej się w edycji dzieł omawianych w tej chwili, oraz doniosłości jego pracy, musielibyśmy znacznie rozszerzyć ramy niniejszego szkicu. Ale brak miejsca przeszkadza temu. Wspomniemy więc jeszcze tylko o tem, że nowe wydanie w kompletnych edycjach dzieł Mickiewicza zawiera po raz pierwszy kilkanaście utworów, dotychczas niedrukowanych, dalej bogaty zbiór nieznanych wariantów, wśród których na szczególniejszą zasługują uwagę odmiany: »Dziadów«, »Grażyny« i »Pana Tadeusza«. Ten ostatni, jak się okazuje, zakreślony był z początku na rozmiary nieporównanie skromniejsze i miał się nazywać »Zegota«. Nie można również pominąć milczeniem dokonanego przez wydawcę podziału chronologicznego. I tutaj trzeba było z konieczności pewne uczynić ustępstwa, tak n. p. II i IV część »Dziadów« należało umie-

ścić po »Balladach i Romansach«, każdy jednak przyzna, że całość wspaniałego poematu straciłaby na takim rozszarpaniu.

Wydanie pod względem technicznym nader jest staranne, ozdobione czterema portretami Mickiewicza, pochodzącymi z różnych epok, oraz czterema podobiznami autografów. (»Farysa«, ustępu z »Pana Tadeusza«, z »Konrada Wallenroda« i z przekładu »Don Carlosa«). Księgarnia Polska we Lwowie, której prawdziwa należy się wdzięczność za wydawnictwo, w ciężkich nader warunkach i z wielkim dokonane poświęceniem, puściła w świat trzy edycje: najtańszą, obejmującą tylko sam tekst Mickiewicza wraz z wariantami; drugą, droższą, zaopatrzoną przypiskami — i trzecią tak samo, tylko na papierze welinowym (w 50 egzemplarzach), zaopatrzoną fotograficznymi zdjęciami z portretów Mickiewicza.

Sprawozdanie niniejsze — niewyczerpujące przedmiotu — pozwól szanowny czytelniku, że zakończę słowami wydawcy, umieszczonemi w przedmowie: Niech te »najwonniesze kwiaty poezji naszej umają choćby jedną niską, mchem porośłą strzechę, niech rozjaśniają na chwilę ciemne kąty suterenu, niech orlich polotów *Ody do młodości* i *Farysa* nie zagłuszy turkot masy i niechaj wszystkiego nie kała brzęczący pieniądz«.

JAN KASPROWICZ.

Z DZISIEJSZEJ POLSKIEJ POEZJI.

» . . . nie wszystkie prorocтва
Na wiatr idą, nie mając u ludzi więcej
Wiary nad baśni próżne i sny znikome«.
Kassandra.

Rocznica to ważna, a chociaż jej uroczystością żadną obchodzić nie będziemy, ważniejsza może dla nas od niejednej bitwy, od niejednego spotkania na polach Wschodu lub Zachodu. Trzydzieści lat mija mniej więcej, jak w rozwoju naszego społeczeństwa zaszedł ów zwrot, który najkrócej dałby się scharakteryzować wyrażeniem Konrada: wyzwanie na serca przemieniłyśmy na walkę na rozumy. Uczucie, poezja prowadziły nas dotąd po otchłaniach porozbiorowej doliny, pełne zapalu i ognia, kiedy chodziło o określenie ostatecznego celu naszych dążeń, ale niejasne i mgliste w oznaczeniu środków do jego dopięcia. Bo zdawało nam się, że jak owa z mgły i ognia utworzona kolumna, co przed żydami szła z Egiptu, tak właśnie poezja doprowadzi nas do obiecanej ziemi Chanaanu. A tymczasem ona wiodła nas tylko do poematu najtragiczniejszego ze wszystkich, jakie romantyzm na całym świecie wydał — do katastrofy styczniowego powstania.

Rozpoczęła się więc przeciw poezji reakcja na wszystkich polach, nawet na polu, na którym ona nic nie zawiniła, to jest w literaturze. Nawet jako ściśle literacki objaw przestała ona uwagę ogółu zajmować. Spadkobiercy natchnień i kunsztu wielkich mistrzów, poeci nasi ostatniej doby, nie czują już w około siebie — gdy śpiewają — tej pełnej uznania i uszanowania ciszy, co zwykła wieszczów na nowo zagrzewać. Takie bowiem milczenie, jakie ich śpiewowi towarzyszy, jest raczej milczeniem głuchych i obojętnych fal morskich, w których utonął niegdyś najpiękniejszy rapsod harfiarza z wyspy Scio. To też w tym czasie właśnie (*Dziennik literacki*, rok 1869, nr 52) powstał ów charakterystyczny wiersz Asnyka, poło-

żony dzisiaj jako wstęp do jego poezji, w którym poeci, przemawiając do publiczności, skarżą się (po raz pierwszy zapewne od dawnych czasów) na apatyę słuchaczy, na brak uznania w społeczeństwie, co zamknęło gwałtem swe ucho dla syreniego głosu poezji:

»Smutno nam wiedzieć, że ta moc cudowna,
»Potrząsająca niegdyś ludzi tłumem,
»Niezrozumiałym stała się dziś szumem . . .«
Poezje. 1888, I. str. 16.

Autor powyższego wiersza, stwierdzając ów fakt niewątpliwej prawdziwości, tłómaczy go, przypisując całą niemal winę współczesnym sobie poetom. O ile bowiem przemawia imieniem publiczności, oskarża swoich towarzyszy o bezmyślność treści a afektacyjną formę, roztapiającą się w mgłę błędnych i pochmurnych wykrzykników. Zarzuca im, że wszedłszy nie szczęśliwie na drogi Heinego i Musseta, poświęcili sprawy i hasła ważniejsze na ofiarę osobistym małostkom i miłostkom. To też publiczność, formułując przez jego usta wyrok, odsądzający poezję od przewodniej roli w społeczeństwie, przypisuje ten skutek wyłącznie niemocy i niedołęstwu ówczesnych poetów, a poeci ci, broniąc się przed tym wyrokiem, nie zaprzeczają wcale tym zarzutom. Przytaczają tylko, jako okoliczność łagodzącą, że poezja wyrasta zawsze na podścielisku, dostarczaniem przez samo społeczeństwo; jeżeli więc brak jest im sił i natchnienia, to nie dla nich wyłącznie urasta ztąd potępienie:

» . . . tacy poeci, jaka jest publiczność . . .«

Przekonanie takie, łączące w związek przyczynowy upadek znaczenia poezji z brakiem odpowiednich jej zadaniu talentów po pogromie 63 roku, jest u nas dość rozpowszechnione. Autor »Zarysu literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu«, Piotr Chmielowski, w podobny sposób tłómaczy ów fenomen literacki, zarzucając również ówczesnym poetom, że nie

zdołali się podnieść na wyżyny zrozumienia »ducha czasu«, reprezentowanego jego zdaniem przez młodzież, kupującą się około sztandaru *Przeglądu tygodniowego*. Nie umieli ci poeci odczuć, że poezja »z powodu nadmiernego rozpowszechnienia, a bardzo wiel-

wprawdzie z całą dążnością »Zarysu«, aby artykuły *Przeglądu tygodniowego* uwydatnić jako punkt zwrotny w dziejach myśli polskiej, nie mniej jednak zbyt wyłączna i zbyt identyfikująca »*der Herren eigenen Geist*« z opinią reszty społeczeństwa.

JÓZEF WODZIŃSKI.



FIGIEL BŁAZNA.

kiej nieużyteczności wymaga prędkiej i stanowczej reformy, skapania w nurcie myśli zdrowych, mogących wlać w jej żyły nowe życie i przemienić ją na istotny czynnik wytwórczości społecznej« (Zarys, str. 38). To ma być według niego właściwa przyczyna zdetronizowania poezji, zgodna

Już bowiem zasadnicza podstawa przytoczonych zapatrywań, szukających wytłómaczenia bardzo głęboko sięgającego zjawiska w okoliczności — ściśle biorąc — przygodnej (w braku talentów u spadkobierców Bekwarkowej lutni), nie wydaje nam się słuszną. Błąd tych zapatrywań polega zaś na tem, że starają się

tłómaczyć zmniejszenie wpływu poezji względami na teraźniejszość i przyszłość, podczas gdy przyczyna tkwi raczej w przeszłości, jaką po za sobą miała poezja. Nie to było przyczyną, że poeci nie zrozumieli roli, jaką im w obecnych ciężkich czasach przystało podjąć, ale raczej, że w czasach poprzednich zbyt ważną powierzono im rolę, do której poezja żadna (nawet tak genialna, jak nasza po 30 roku) dorosć nie może. Już starzy klasycy: Koźmian, Śniadecki, ludzie o pojęciach literackich ciasnych i zastarzałych, ale politycznie bardzo trzeźwi, ostrzegali przed fatalnymi skutkami rozpoetyzowania społeczeństwa, upojenia się romantyzmem, działającym wyłącznie na uczucie. Głos ich pozostał wprawdzie na razie bez echa. Młoda szkoła redaktorów *Nowej Polski* chlubiła się wówczas, że wprowadza w życie polityczny romantyzm, znajdując przygotowany grunt przez »rewolucyjną poezję, która uniosła, rozogniła cały naród« (*Nowa Polska*, organ Lelewela, z 5 stycznia 1831). Z biegiem czasu wpływ ten, jak wiadomo, jeszcze wzrasta, będąc jedną z najpotężniejszych dźwigni narodowego życia. Poezja jest tym wielkim ogniem, przy którym wytrącone z normalnej kolei rozwoju społeczeństwo szuka dla siebie pierwiastków ciepła i czucia; jest jakby łódź, pływająca na falach obcych żywiołów a unosząca wszystko, co się nam udało ocalić z potopu. Stan taki, niewątpliwie w zasadzie swojej nienormalny i dający się tylko wytłómaczyć wyjątkowymi stosunkami, przeciąga się jednak bardzo długo, a od roku 1848 nabiera cech coraz niezdrowszych. Na bujnym drzewie poezji zaczyna wyrastać pasożyt: egzaltacja, a co gorsza nie poezja wieszczów, ale ta karykatura poezji (jako skrajniejsza i dalej idąca) zaczyna się pierwsza przeistaczać w czynów stal. Dopiero szereg wielkich klęsk przywodzi naród do reakcji przeciwko takim stosunkom. Ale zaczęła się ta reakcja i wcześniej i gdzieindziej, niżeli na szpaltach pozytywistycznego organu. Już przed rokiem 1863 krystalizuje się prąd przeciwny w *Wiadomościach polskich*, a artykuł o »Sztuce Polskiej« Juljana Klaczki jest pełnym świadomości sformułowaniem opozycji przeciw przewadze uczuciowego pierwiastku w polityce. Po ochłonięciu i skupieniu się narodowej refleksji po pogromie 63—64 roku, kiedy zaczęto się zastanawiać nad źródłami złego, ta świadomość była już nieledwie mądrością całego narodu — po szkodzie.

Stąd to poszło obniżenie powagi poezji w życiu naszym, a co za tem idzie zmniejszenie znaczenia, jakie zajmowała dotąd w naszej literaturze. Niemal równocześnie rozpoczęto bowiem we wszystkich ziemiach Polski nawoływać do wytrzeźwienia się z romantycznego sposobu prowadzenia spraw publicznych. Z Galicyi zacytować odpowiednich dowodów nie trudno; z pism warszawskich można wskazać choćby tylko na bardzo wybitny artykuł *Niwy*, w którym redakcja bardzo stanowczo domaga się od społeczeństwa »ukracania fantazyi i pielęgnowania rozsądku« (*Niwa*. 1872. II. nr. 17, str. 99). Charakterystycznym zaś (bo skrajnym) wyrazem dokonanej już reakcji jest choćby tylko ów znany, namiętny i bez

wątpienia za daleko idący — a przez to niesprawiedliwy — artykuł Krupińskiego, skierowany przeciw romantyzmowi i jego wpływom, umieszczony przed kilkunastu laty w jednym z warszawskich miesięczników (*Ateneum*, 1876, kwiecień).

Ze śmierć wielkich wieszczów bez pozostawienia po sobie równie wielkich dziedziców, ułatwiła działanie tej reakcji, nie ulega żadnej wątpliwości. Z drugiej jednak strony nie trzeba zapominać, że w oskarżeniach Asnyka, na których oparł swój wyrok potępienia, jest zbyt duża doza surowości. Pokolenie następne, instancja druga, musi przede wszystkim osłabić zarzut niedołęstwa i niemocy, uczyniony przezeń ówczesnemu naszemu Parnasowi. Zapewne, czytając poezję i wierszyki, rozrzucone po ówczesnych pismach: *Dzienniku literackim*, *Tygodniku*, *Przeglądzie tygodniowym*, lub nawet osobnych zbiorach, byłoby rzeczą łatwą odszukać niemało poetyckiego śmiecia i »skoszlawionego czarnoksiężstwa pieśni«. Ale tych opilek z wielkiego warsztatu narodowej twórczości, nie można przecież uważać za jej wytwory. Są równocześnie poeci lepsi, oryginalniejsi, niewątpliwie godni rozwiązać rzemyki u mickiewiczowskich sandałów, a liczba ich nie jest przecież tak szczupła, jakby się na podstawie wiersza Asnyka mogło zdawać. Pominąwszy bowiem poetów należących artystycznie do epoki dawniejszej, przedstycziowej (aczkolwiek i po r. 1863 dalej tworzących): Zaleskiego, Goszczyńskiego, Pola, Ujejskiego, Lenartowicza, Deotymę, pominąwszy przedwcześnie zmarłego Romanowskiego, lub również przedwcześnie — a z taką szkodą dla literatury — moralnie zabitego Ryszarda Berwińskiego, ileż to nowych talentów, ileż nowych i niepowszednich indywidualności występuje wówczas na widownię. Przede wszystkim sam Asnyk, liryk głęboki i rzewny, tak mało sztuczny a tak wielce kunsztowny, którego najpiękniejsze wiersze nie ustępują chyba wcale ani co do nastroju, ani co do artyzmu formy żadnemu z wielkich mistrzów nowożytnej liryki. Idzie dalej wzniosły, deklamacyjny, nieraz może sztuczny i napuszony, ale nieraz także olśniewający czytelnika swym patosem i formą Sowiński. Obok nich Faleński, znany już wówczas z jednego tomiku poezji, nie ogarniającego zresztą najlepszej części jego twórczości, rozrzuconej po czasopismach. Zawili, twardy we formie, ale przykuwający uwagę czytelnika oryginalnością swej myśli, Szujski; dalej: Ordon i Miron, obaj pisarze wybitnego talentu, chociaż obaj nie dotrzymali tego, co przy swem wystąpieniu zapowiadali; łagodnych i spokojnych uczuć poeta Grudziński; również i Gomulicki, drukujący już wówczas (1867) swe pierwsze — dość słabe zresztą — poezje w *Tygodniku* i *Przeglądzie*. Słowem, nie wysuwając nawet talentów podrzędnych, jak Wolski lub Jabłoński, nie apoteozując dziwactw Norwida, lub ekscentryczności Bogumiła Aspisa, można by przecież wyliczyć spory poczet piszących w owym czasie poetów, których utwory składają wymowne świadectwo przeciw prawdziwości zwałczanego przez nas twierdzenia.

STANISŁAW ESTREICHER.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PALL MALL GAZETTE.

EPIZOD Z DZIEJÓW DZIENNIKARSTWA ANGIELSKIEGO.

Powiedziano sprawiedliwie, że do trzech władz stojących na czele każdego społecznego organizmu przybyła, od czasu rozwoju prasy, czwarta. Można nawet dodać, że potęga tej ostatniej góruje nad dawniejszemi. Skoro w krajach swobodnych opinia publiczna, będąca wyrazem woli narodowej i zapatrywań powszechnych, wytwarza instytucje i kieruje obrotem ich, to prasa, jako wyraz tej opinii, musiała zyskać sobie stanowisko przyczółkowe. Czem społeczeństwo bezpieczniejsze i wszechstronniejsze rozsiadło się w swych konstytucyjnych swobodach, tem większe znaczenie posiada u niego prasa. O ile Anglia pod tym względem przewyższa mocarstwa stałego ładu, o tyle jej dziennikarstwo silną swą organizacją, niezależnością, wpływem wyróżnia się od reszty europejskich, a wyróżnia korzystnie.

Nie jest naszym zamiarem kreślić tutaj jego historycznego przebiegu, ani dawać monografii wielkich organów prasy, jak *Times'a* albo *Standard'a*, *Daily Telegraph'u* albo *Daily News*. Zaprowadziłoby nas to za daleko, a o tych olbrzymach, będących normalnym wyrazem stronnictw historycznie istniejących, jest zawsze pora do mówienia. Obecnie pióro do ręki kładzie nam wyjątkowa okoliczność — powstanie nowego dziennika: *Westminster Gazette*. Jest to w Londynie rzecz rzadka, nowe codzienne pismo. Wszystkie stronnictwa mają już swoje, dla wszystkich kierunków i nawet talentów piśmienniczych jest już arena przestrona. Przeciwnie, niż w Paryżu, gdzie lada warchoła, rozporządzający kilkunastu tysiącami franków rzuca się do wydawania dziennika o efemerycznym byciu, w Londynie dziennik jest machiną do wprowadzenia w ruch której potrzeba milionowego kapitału i już wyrobionego publicznego stanowiska. Jest tedy rzeczą interesującą, zdaniem naszym, przypatrzeć się okolicznościom, które towarzyszyły narodzinom nowego organu prasy londyńskiej. Publiczność, która lubi zaglądać za kulisy teatralne, ma więcej prawa zajrzeć za kulisy dziennikarskie: widowisko jakie tam znajduje należy niezaprzeczenie do podnioslejszej sfery.

Okolicznością ciekawą w powstaniu nowego dziennika jest to, że nowa a druga to już odrośl strzelająca z pnia *Pall Mall Gazette*. Ażeby nowy ten awatar zrozumieć, trzeba nam przedstawić czytelnikom koleje, jakie dotąd dziennik ten przebył. Epizod jest, bez zaprzeczenia, jednym z najciekawszych w dziejach współczesnej prasy angielskiej.

Wszystkie wielkie dzienniki londyńskie są poranne, chociaż niektóre z nich wydają oddzielne wieczorne edycje. Żaden ze specjalnych i wyłącznie wieczornych dzienników nie miał powodzenia materialnego ani wpływu aż do epoki, w której p. Fryderyk Greenwood założył *Pall Mall Gazette*. Miało to miejsce w 1865 roku. Długo już pierwsi nosił się on z myślą założenia dziennika, któryby był organem arystokracji umysłowej, owego wyborowego świata gromadzącego się w dzielnicy *Pall Mall*. Romansopisarz Thackeray żartobliwie naszkicował był rys dziennika pod tym tytułem, pisanego przez gentlemanów dla gentlemanów. P. Greenwood, pisarz o gruntownym literackim wykształceniu, obracający się w sferach zachowawczych, przedsięwziął urzeczywistnienie tego planu. Brakowało mu kapitału, ale w Anglii dziennik

jest zwykle stowarzyszeniem, do którego wydawca wnosi kapitał i bierze na siebie materialną stronę przedsiębiorstwa, a zdaje na naczelnego redaktora wszelką odpowiedzialność co do kierunku, formy i co do współpracowników. P. Greenwood bez wielkiego trudu znalazł wydawcę w osobie i w firmie wielkiego domu Smith'a.

Dziennik nowy odrazu odznaczył się wprowadzeniem do swych łamów kwestyi literackich, naukowych, artystycznych i stał się istotnie organem wykształconych klas społeczeństwa. Ale widocznym było, że one same w sobie nie były w stanie zapewnić świetnej egzystencji dziennikowi, gdyż przez kilka lat początkowych, mimo niezaprzeczonego literackiego talentu redaktora i jego pomocników, włócił on żywot mizerny. Mimo ceny 2 pensów za numer, rozchodząc się zaledwie w 1500 egzemplarzach, nie pokrywał kosztów i wydawca, zniechęcony stratami, groził ustawicznie zwinięciem organu. Były to cierniste początki i tem boleśniejsze dla p. Greenwooda, że mu prozaiyczny kapitalista odmawiał umiejętności przemawiania do publiczności i strofował za przesadzone zdaniem jego aspiracje do literackiej wytworności.

Szczęśliwy traf zrehabilitował nietylko redaktora, ale niespodzianie przyczynił się do zapewnienia *Pall Mall Gazette* nadzwyczajnej poczytności. Owym wystrzałem z pistoletu podczas koncertu — ażeby się posłużyć wyrażeniem Stendhala — była kwestya domów robotniczych: *workhousów*. Mówiono zawsze wiele o nadużyciach jakie popełniane były w tych domach przytułku, ale prawdziwych sprawozdań z pierwszej ręki o nich nie było. P. Greenwood wpadł na myśl posłać tam swego własnego brata. Energiczny młodzieniec wraz z innym kolegą-dziennikarzem, odziani w łachmany, przybyli wieczorem do workhousu i pozostali w tem piekle przez 48 godzin. Po wyjściu z niego opisał dziennik dokładnie metodę, jaką się te filantropijne instytucje posługują i haniebne poniżenie, na jakie wystawiają swoją nieszczęśliwą klientelę. Artykuł zrobił niesłychaną sensację; rozpoczęła się polemika, indagacje, listy do redakcyi, a dziennik — uprzednio mało czytany — naraz znalazł się w ręku wszystkich. Pogwałcona fortuna okazała mu się przychylną.

Po przebyciu mozolnego nowicyatu, *Pall Mall Gazette* płynie odtąd z pomyślnym wiatrem i staje się Benjaminkiem zachowawczego stronnictwa. Wpływ jej był tak potężny na bieg publicznych wypadków, że jej kampanii powszechnie przypisywano upadek liberalnego gabinetu Gladstona w 1874 r. Materialnie dziennik stał wówczas tak świetnie, że okazała się potrzeba nowych machin, nowych biur i że wydawca wpadł nawet na myśl wydawania innej, porannej edycyi. Stracił na tem przedsięwzięciu znaczny kapitał i wyrzec się musiał dodatkowego organu, ale nie zwichnął atoli rozwoju dziennika, jaki się już był ustalił. Przez cały peryod zachowawczego gabinetu, p. Greenwood był jego powiernikiem, a nawet nader użytecznym doradcą. Nie jest już oddawna tajemnicą, że nie kto inny, tylko on podsunął myśl lordowi Derby ryczałtowego zakupu kanału suezkiego od Khedywa. Nietylko, że za 4 miliony funtów nabyła Anglia kapitał wartujący obecnie 20 milionów

funtów, ale przygotowała okupację Egiptu, której zdumiewające fazy rozwijają się bezustanku przed naszymi oczami. Stronnictwo *Fingów*, to jest szowinistów angielskich, dążących do położenia na całym

świecie brytańskiego piętna, czuje od tej chwili nie-
stłumioną wdzięczność dla p. Greenwooda i jemu także przypisuje inicjatywę pochwylenia Cypru w szpony angielskie.

(Dokończenie nastąpi).

M. E. NEKANDA-TREPKA.

VINC. DA FILICAJA.

DO ITALII.

Italo, o Italo, ty, co-c losów księga
Przeznaczyła piękności nieszczęsnej obrozę,
A z nią—w posagu zgubnym — klęsk wieczystych morze,
Którego ci żalobna skroń owija wstęga!

Bodaj czar twój był mniejszym, lub większą potęgą.
Więcej by ci ztań przyszło, lub mniej by cię może
Kochał ten, co w piękności wpatrzony twej zorze,
Zda się topnieć, a jednak śmierć ci poprzysięga!

Snadź nie widziałbym wtedy rwącemi potoki
Spadających z Alp wojów, galijskiej konnicy
Żłopiającej wodę Padu, kraśną od posoki.

I ciebie nie widziałbym w nieswojej zbroicy,
Walczącej obcych ludów płatnymi otroki,
Zwycięzkiej, zwyciężonej — wiecznie niewolnicy!

Przełożył z włoskiego MIRIAM.

Z TEKI MIESZCZANINA POLSKIEGO.

Ktoś kiedyś gdzieś powiedział, że szczytem obiektywności jest wiedzieć, że się jest subiektywnym. W tym paradoksie jest nieco prawdy, chociażby tylko dlatego, że świadomość błędu jest zawsze pierwszym krokiem do poprawy, a obserwowanie go najlepszym chyba do niej środkiem. Kto umie przypuścić, że jest subiektywnym, ten będzie się miał na ostrożności, a podejrzewając samego siebie o mimowolną — uwalnia innych od potrzeby podejrzewania go — o umyślną subiektywność czyli tendencję. Niesposób też jest przy pracy naukowej pozbyć się własnego indywidualizmu, do którego, jak wiadomo, należy nieodzwonnie wszelka sympatya i antypatya, przeróżne osobiste nawyczki a nawet i zachcianki, od których żaden nietylko z historyków, ale nawet z astronomów wolnym nie jest. Jedyna na to rada pamiętać *se hominem esse* i starać się dowiedzieć o swej własnej subiektywności, to znaczy: poznać jej źródło i pilnować, żeby się nie rozlewało niepotrzebnie, nałożyć sobie samemu wędzidło własnej nad sobą kontroli.

Subiektywizmu głównym źródłem jest niezawodnie wszystko to, co nam daje urodzenie. Nikt nie wątpi, że inaczej patrzy na świat mężczyzna, a inaczej kobieta; również znane są powszechnie trudności sprowadzenia do wspólnego mianownika azyatyckich a europejskich poglądów na społeczeństwo i państwo; to fakt ogólnie znany, poznany i uznany. Jestem silnie przekonany, że istnieje też znaczna różnica między obrazami świata, jakie się przedstawiają bogatemu a ubogiemu człowiekowi, a jeżeli obaj będą posiadali jednaki stopień inteligencji zechcą zapewne obaj poczynić pewne poprawki, ażeby uniknąć poglądów, które jednemu i drugiemu — choć w różnych kierunkach — na-

rzucił stan ich kieski. Pojęcia zależą od wrażeń i podobno często z nich nawet się rodzą, a wrażenia aż nazbyt często zależne są od stosunków, na pozór dla umysłu najobojętniejszych, jak n. p. stan majątkowy u mężczyzny, lub piękność u kobiety. Czyż w rozmyślaniach naszych, w badaniach, dyskusjach i polemikach zdołamy się zupełnie wyzwolić od wpływu wrażeń czysto osobistych? Zagadnienie to roztrząsa we własnym sumieniu każdy historyk, a że i podpisany do czeladzi tego cechu się liczy, a przynajmniej zaliczonym być pragnie, więc i jemu nieraz szumiało i szumieć będzie koło uszu groźne Mane-Tekel-Fare pytania zadawanego przez chochlika, wyszczerzającego zęby z mądrego napisu delfickiej świątyni: »Czy spisujesz obiektywne sądy, czy subiektywne wrażenia?« Nie bardzo miły ten głos, ale należy on już, że tak powiem, do rzemiosła, a kto go nie słyszał w swej pracowni, ten historykiem wcale nie jest, kto zaś słysząc nie słuchał, a chochlika odganiał, lub protekcyjnalnie byle czem zbywał, ten się rodził na historyka... złego.

Ciekawą byłaby kolekcja takich chochlików, gdyby wszyscy historycy zechcieli nam swoich opisać; zwłaszcza chochliki tęgich majstrów cechowych miałyby wartość, że tak powiem, metodologiczną dla młodych adeptów cechu, ażeby wiedzieli, jak się z tymi natrętami ułożyć o *modus vivendi*, jak ich zadowolnić i dojść nareszcie do tego, ażeby się już nie zjawiali, to znaczy, żeby nie mieli już powodu się zjawiać. Nie wątpię bowiem, że po długim obcowaniu można się z nimi całkiem uczciwie załatwić i uczynić te głosy zbędnymi, co dla samego historyka musi być bądź co bądź szczytem ambicji. Niestety kolekcji

takiej niema. Skoro jednak potrzebna, więc zabierzmy się do zbierania galeryi, a że kto do jakiego dzieła wzywa, powinien sam pierwszy ręki przyłożyć, więc pozwolę sobie opublikować jednego takiego chochlika znanego mi osobiście. Jest to osoba bardzo prozaiczna, prosty mieszczuch. Krępa, przysadkowata figura w grubych a bosych rękach (bez rękawiczek), trzyma w jednej łokieć i miarkę, z drugiej wypadła mu książka, w chwili gdy nią pomacał się po kieszeni...

Czemu taki właśnie chochlik zaszczycił mnie osobistą swoją znajomością, a nie inny? Może to skryta aluzja do tego, że jestem mieszczuchem. Tak to tak! Zniknęła już przed prawem różnica stanów, wolno już nawet uczynić zadość swojej zachciance, owej królowie, która tak nas intrygowała za młodu w dziecinnym pokoju, że chciała wyjść za dziada; nikt nie pilnuje mojego papieru listowego, czy na nim nie mam herbu lub ukoronowanego monogramu, ale chochlik niepomny na te postępu objawy, śmie w taki reakcyjny sposób dokuczać i to komu? Człowiekowi, który z samą tylko szlachcią ciągle ma do czynienia: mieszczactwa w historii polskiej na lekarstwo. A może on właśnie obraża się o to, że konfratrów swoich nie znajduje w uprawianej przezemnie dziedzinie, może jest tego zdania, że przez poczucie solidarności stanowej trzebaby też spojrzeć na te sprawy choć raz z mieszczackiego punktu widzenia. Lepiejby chochlik zrobił, gdyby przed tem przestrzegwał, niż, że do tego

(Ciąg dalszy nastąpi).

zachęcał, bo nuż się pod jego wpływem obudzą jakie wrodzone skłonności; to też bałbym się pójść za tą wskazówką śmiało i na wielką skalę. Nie może jednak zaszkodzić, gdy na mieszczackie specjalnie sprawy w naszej przeszłości od niego pożyczę okularów. Kto wie, może ciekawe zobaczy się rzeczy, może takie, których bez tego całkiemby się nie spostrzegło.

Czytelnik zaś niechaj uwzględni niedokładność i pewną dorywczość luźnych, nie mających żadnych większych pretensyj pogadanek. Jak artyści malarze nie tylko skończone publikują dzieła, ale również z szkicami i studjami nieraz występują i to ku wielkiemu naszemu zadowoleniu, tak też niechaj i mnie wolno będzie kilku kreskami zaznaczyć niejedno, co może zamieniłoby się w staranniej wykończony obraz, gdyby nie to, że muszę się spieszyć, póki memu chochlikowi znów nie wypadnie książka z ręki.

A teraz całkiem już seryo. Przedewszystkiem na dowód, że umiem ocenić i łokieć i miarkę, niech mi będzie wolno zacytować rozumne słowo Wincentego Pola, którego wszyscy członkowie sławetnego naszego stanu powinni nauczyć się na pamięć: »Niech praca po ziarnku dokłada do ziarnka, niech mierzy i liczy i waży, a kiedy poczciwa uzbiera się miarka, niech miłość tą miarką szafarzy. Wśród burzy żywota nie wyjdzie bezpieczny z tej walki ni wielki, ni mały, lecz wyjdzie ogłędny, wytrwały, stateczny, rozumnie serdeczny i dbały«.

DR. FELIKS KONECZNY.

OSTATNI ROMANTYK,

Kornel Ujejski. »Poezye«, 2 tomy. Lipsk.

I.

Poeta, o którym kilka uwag ośmielałem się wypowiedzieć, Kornel Ujejski, należy do rzędu tych, którzy najbliżej stoją wielkiej naszej trójcy: Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego. Pokrewny im wielkością natchnienia, potęgą ducha, a różniący się samodzielnością talentu, stanął on, można powiedzieć, na przełomie dziejowym naszej poezyi, na rozgraniczu dwóch światów: rozkwitu poezyi romantycznej i narodzin kierunku, bardziej odpowiadającego nastrojowi nowożytnego społeczeństwa naszego.

Poezya w całej Europie, w społeczeństwach starych pod względem kultury umysłowej, szuka nowych dróg, nowych światów, nowych źródeł natchnień dla siebie; to samo dzieje się i u nas, z tą chyba różnicą, że nigdzie nie jest ona tak silnie związana z życiem politycznym narodu, nigdzie natchnienia jej nie opierają się tak mocno o grunt własny, jak u nas. Wielkie cierpienia narodowe i wielkie jego nadzieje zawsze służą za podścielisko poetyckie dla największych i najszlachetniejszych umysłów. Krótko mówiąc, poezya idzie u nas w parze z życiem narodowym. I dziś nawet — mówię o najnowszej dobie — nie brak nam niepospolitej siły poetów, których tętno natchnienia uderza równomiernie z tętnem życia narodowego. Nawet poeci brukowi, karmelkowi, że tak powiem, występujący od parady, — ci, którzy gotowi układać wiersze do cudzych piesków, jak Trębecki, lub pisać ody okolicznościowe na wzór Molskiego, ci nawet, którym wystarczają lamentacje erotyczne, — ubogie swoje myśli ozdabiają wielkimi hasłami i frazesami o miłości ojczyzny. Pozostawiwszy jednak taką poezję na stronie, przejdziemy od razu do Kornela Ujejskiego.

Nie mam zamiaru wcale kreślić sylwetki tego wielkiego poety przełomowej doby; nie zajrzę do jego życia, pracy, usposobień, charakteru — co mogłoby oświetlić wszechstronnie postać Ujejskiego — pragnę tylko o jego poezyi kilka uwag wypowiedzieć i naszkicować obraz człowieka, o ile on ujawnił się w pracy swego ducha. Już z tego widać, że będzie to szkic bardzo niedokładny, gdyż pozwoli zaledwie pochwycić ogólny polot myśli poety, jego uczucia, poznać nieco jego przekonania polityczne i społeczne.

K. Ujejski nie jest poetą naszych czasów, czyli, dokładnie mówiąc, najnowszej chwili dziejowej; daremnie szukalibyśmy w nim nowych hasła, nowych tętn, pragnień i marzeń dzisiejszych. Wystąpienie jego przypada na chwilę przełomu politycznego i fermentacji demokratycznej, jakie poprzedziły w Galicyi rok 1848. Te hasła i te idee znalazły się i w poezyi K. Ujejskiego.

W ogóle, w literaturze polskiej, była to doba największego rozkwitu poezyi romantycznej. Mickiewicz zakończył swój najwspanialszy okres twórczy, a Słowacki i Krasiński dosięgli szczytu sławy. Każdy z nich już był sobą w całym tego słowa znaczeniu, był słońcem koło którego krążyło mnóstwo satelitów. Ujejski nie poszedł za żadnym z nich. Obdarzony talentem wybitnym, samodzielnym, stał się echem życia narodowego, lecz nie naśladowcą głosów cudzych. Myślał i cierpiał według wrażeń własnego serca, patrzył na wszystko własnym okiem, ran społecznych dotykał własną ręką — nie potrzebował więc zapożyczać się u nikogo; szedł drogą wspólną z innymi, ale własnym śladem. Panujący w filozofii kierunek metafizyczny wpływał do pewnego stopnia i wpływać

musiał na kształtowanie się jego pojęć filozoficznych i politycznych nawet, ztąd też charakter jego poezyi wydać się nam może nieraz dyssonansem w obec pozytywnego lub pesymistycznego kierunku w filozofii i realnego w sztuce, panujących obecnie.

Przedewszystkiem powiedziec należy, że Kornel Ujejski jest poetą wyłącznie prawie lirycznym; ztąd płyną jego wady i wielkie zalety. Przewaga dziedziny liryki i refleksyi nadała utworom jego zbyt indywidualne oświetlenie, z drugiej strony usunęła przedmiotowość (objektywność) w przedstawieniu i pomowaniu rzeczy; do pewnego stopnia jest to zresztą cechą właściwą lirycznej poezyi, w której poeta nie stoi w takim oddaleniu od ogniska akcji, jak w epicznej.

K. Ujejski dał jednak dowód, że i w nastroju epicznym potrafi zachować miarę, chociaż nie odpowiadał on ani jego talentowi ani temperamentowi. Miarę tę utrzymał z całą powagą, humorem i prawdziwie homerowską prostotą w legendzie *Plug i szabla*, a nie potrafił zachować w cudownie pięknym poemacie *Maraton*, idąc za popędem lirycznego uczucia, dostrojonego do skali narodowej.

Jak każdy wielki poeta, swoje własne uczucia i myśli umiał połączyć nicią z myślą społeczeństwa, którego był częścią. K. Ujejski ile razy mówił o sobie, tyle razy mówił za innych. Związek ten wytłómaczył pokrewny mu duchem W. Hugo: *«On se plaint quelquefois — powiada w przedmowie do «Contemplations» — des écrivains qui disent: moi. Parlez-nous de nous leur crie-t-on. Hélas, quand je vous parle de moi, je vous parle de vous. Comment ne le sentez-vous pas?»*

Osobistym swoim uczuciom nadawał on niechęcący formę uogólnienia, zlewał się niejako z cierpieniami i bólem narodu, ale w tych cierpieniach i bólach nie radził zamykać się jak w Nirwanie. *«Pieśń nie pieluchą ma być, lecz ostrogą»* — mówił (I. 70). Umiał bole wypowiedzieć i znosić poważnie.

Dla tego też kiedy w drugiej połowie XIX w. zapanował okres poezyi naśladowniczej — echa tych bólów, jakie miotaly Krasińskim i Słowackim — i zrodziły się całe gromady lamentujących poetów, śpiewających na fałszywą nutę, Ujejski poznał się na hidalgach, włóczących się pośród społeczeństwa, opiewających udane bole — i ostro ich skarcił:

Wszak nierozsądny, kto po rynkach chodzi
I taką wiarę dla gawiedzi głosi,
A tak czynicie wy, śpiewacy młodzi,
Żaden tej szaty w pokorze nie nosi... — (I. 69).

Działalność poetycka K. Ujejskiego rozpoczęła się, a raczej zaznaczyła się najwybitniej — jak powiedziałem — w epoce wielkiego przełomu, jaki Galicya przeżywała po r. 1846. W chwili, kiedy zdawało się, że najlepszym i najrozumniejszym programem pracy około odrodzenia się społecznego będzie myśl poety *«z szlachtą polską polski lud»* zabrzmiał krwawy dyssonans, wywołany słowami Szeli. Zgrzyt ten wydobyty ze znanej zasady: *divide et impera*, był najlepszym świadectwem, że istniały jakieś rachunki do załatwienia, że była strona krzywdząca, wyzyskująca — i pokrzywdzona, która, jak niegdyś Masław, podniosła krwawe znamię wojny. Te usiłowania ludowe niejasne, bezcelowe na pozór, na pół tylko wypowiedziane, ta wojna, pełna krwawych epizodów, bez wodza i bez nadziei zwycięstwa, była chłopską rewolucją, bratobójczym pojedynkiem, który odkrył wewnętrzne rany, niemoc moralną walczących i wykazał jednocześnie, że państwo dla własnych korzyści ran narodowych goić nie pozwala. Pod wpływem tego położenia zrodziły się *«Skargi Jeremiego»* i *«Melodye biblijne»*, poemaciki rzeźbione jak arcydzieła włoskich mistrzów odrodzenia, pełne potęgi i głębokiego liryzmu. Na tej *«harfie żałobnej»*, którą wziął od *«Anioła melodyi»* Izrafiła, poeta śpiewał tylko smutne pieśni, bo i w ojczyźnie byli *«wszyscy smutni»* (I. 168). Obrazy, jak *«Hagar na puszczy»*, *«Słup soli»*, kreślone są z całym bogactwem wschodniego kolorytu, a każdy jest oświetlony inaczej, innym uczuciem przeniknięty. Ten krajobraz, na który patrzy Abraham ze wzgórza i widzi poschłe cedry, powiędłe róże, siarczane kurze wznoszące się z dolin, a nigdzie ani kwiatu ani drzewa — pełen niewypowiedzianie głębokiego smutku; czuć, zdaje się, nad nim rozpięte ciche skrzydła śmierci, pod którymi ściele się cisza grobowa. *«Hagar na puszczy»* grozą swoją przypomina *«Ojca zadżumionych»*, tak wiele ma z nim wspólnych bólów, wspólnych myśli. W *«Ostatnich głosach Sodomy»* odczuwa się całe przerażenie i okropność chwili, a muzykalność i rytmiczność wiersza oddaje ruch, gwar, przestrasz, całą skalę ludzkiego głosu i uczuć. Zdaje się, że czujemy, myślimy, uciekamy razem z przerażonym tłumem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

FR. RAWITA.

K R O N I K A.

* Komitet zajmujący się sprowadzeniem zwłok ś. p. Teofila Lenartowicza wydał odezwę, w której ostatni główny ustęp brzmi jak następuje: *«Otrzymawszy stosowne od władz i rodziny pozwolenie do złożenia zwłok Lenartowicza w grobie zasłużonych na Skałce, komitet pragnie, aby oddanie ostatniej posługi i hołdu Lenartowiczowi było godnem poety i czczącego jego pamięć społeczeństwa. W tym celu komitet odzywa się do wszystkich ludzi dobrej woli, z prośbą, aby jego usiłowania poparli i pospieszyli ze składekami na koszt przywiezienia zwłok Lenartowicza, uroczystego ich pogrzebu i wzniesienia sarkofagu. Komitet sądzi, że nie potrzeba przypominać ogółowi długu, zaciągniętego względem pamięci poety, że dość zawiadomić go o rozpoczęciu akcji, aby uzyskać w drodze składek kwotę, potrzebną do spełnienia obowiązku względem poe-*

ty, którego jedynym ideałem było szczęście ojczyzny, a który widząc jej przyszłość w podniesieniu mas ludowych, najwięcej zbliżał się do nich treścią i językiem swych utworów. W imieniu komitetu: *Dr Adam Asnyk*, przewodniczący; *Michał Bałucki*, *Juliusz Kossak*, zastępcy przewodniczącego; *Walery Eljasz*, sekretarz».

* Na walnem dorocznem posiedzeniu wydziału wielkiego Kasy Oszczędności krakowskiej, złożył dyrektor Fr. Słęk sprawozdanie z postępu robót około restauracji kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu. Na jego wniosek zgromadzenie uchwaliło: celem zupełnego odnowienia tego zabytku wysokiej artystycznej i pamiątkowej wartości, z czystego zysku osiągniętego w r. 1892 przez Kasę, dodać jeszcze kwotę 20,000 złr. — Na drugi wniosek tegoż dyrektora Słęka fundusz na budowę

Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie — w 1888 r. przez Kasę Oszczędności ofiarowany, a dziś już wynoszący 57,736 złr. 20 ct. — powiększony został o 20,000 złr. Tym sposobem jedna z miejscowych, świetnie kierowanych instytucyj finansowych swoim darem i wpływem dokona odnowienia najcenniejszego może z pomników przeszłości naszej i wzniesie gmach użyteczności publicznej, na który ogół długoby oczekiwał, gdyby nie jej skuteczna i szczodra interwencja.

* Znany zaszczytnie rzeźbiarz polski Wiktor Łódzia Brodzki, stale w Rzymie zamieszkały, podarował municypalności wiecznego miasta, z powodu uroczystości srebrnego wesela króla Humberta i królowej Małgorzaty, cenną grupę marmurową. Rada miejska dar Brodzkiego przyjęła i uchwaliła podziękowanie dla artysty.

* Listy Andriollego z wycieczki do Kroacyi i Dalmacyi drukuje w swym odcinku *Kuryer Warszawski*.

* Znany krytyk wiedeński E. Ranzoni, omawiając doroczną wystawę w *Künstlerhausie*, w ten sposób wyraża się o utworach Piotra Stachiewicza: »Do najwdzięczniejszych kreacji w dziedzinie religijnego malarstwa, zdobiących wystawę, należy dziesięć olejnych obrazów Piotra Stachiewicza »Legendy o Matce Boskiej«, które jeszcze podczas pobytu naszego w Krakowie, mieliśmy sposobność podziwiać. Rzadko chyba w sposób bardziej poetyczny pojęto i przedstawiono postać Maryi w malarstwie, jak w tym cyklu, który niestety nie pośród olejnych obrazów w salach niższych, ale w bocznych lokalnościach pierwszego piętra znalazł umieszczenie. »Matka Boska Siwna« przedstawia nam ideał chrześcijańskiej niewiasty w swej za serce chwytającej czystości, równie jak przepiękne legendy o »Mlecznej drodze« i »Bożem Narodzeniu«. Oprócz »szarego z szarem« artysta z delikatnym poczuciem najwybredniejszego smaku, użył także dyskretnie innych barwnych odcieni, jak n. p. malując deszcz kwiatów, który spada przed Maryą. Kto dla wruszającej prostoty i naiwnego wdzięku tego rodzaju podań ludowych zachował w sobie poczucie i zrozumienie, ten pod wpływem tego cyklu obrazów odniesie wrażenie pełne pietyzmu, które mu na całe życie pozostanie«. Dodać musimy tu jeszcze, że wszyscy recenzenci wiedeńscy, bez wyjątku, nader pochlebnie wyrażają się o tych *grisailles* naszego wielce utalentowanego krakowskiego artysty, a cesarz — o rysunku w nich — miał podobno powiedzieć: »*Die Zeichnung ist reizend*«. Ranzoni wyróżnia zaszczytnie utwór pędzla Z. Ajdukiewicza, oraz portrety Pochwalskiego, twierdząc, że jest tylko »rzeczą upodobania temu lub owemu z wizerunków jego przyznać palmę pierwszeństwa«. Inni krytycy z gorącym uznaniem podnoszą pierwszorzędne zalety dzieł: Alfreda Wierusz Kowalskiego, Romana Kochanowskiego, Leopolda Horowitza, Wojciecha Kossaka, Jana Styki i Tadeusza Rybkowskiego. Zaznaczamy, że nie mogliśmy dotąd przeczytać wszystkich sprawozdań, a nie wątpimy, że działalność innych artystów polskich — o ile uwidoczniła się na ekspozycji w *Künstlerhausie* — ocenioną będzie przez recenzentów wiedeńskich równie należycie i sprawiedliwie.

* Józef Brandt i Władysław Czachórski powrócili z Paryża do Monachium. Pierwszy gościł w stolicy Francji tylko dla obejrzenia wystawy dzieł Meissonier'a, a drugi konferował z artystami francuskimi o wzięcie przez nich udziału w dorocznej ekspozycji monachijskiej.

* Urzędowy organ berlińskiego »Związku artystów i artystek niemieckich« p. t.: *Der Kunst-Salon*, pomieścił w zeszycie marcowym obszerny artykuł, noszący nazwę: »*Polnische Kunst*«. Autor jego p. Suesser podnosi z uznaniem narodowy kierunek sztuki polskiej. Zaznaczając, że część malarzy naszych — z Siemiradzkiem na czele — uprawia z powodzeniem także tematy ogólniejsze, poświęca autor bliższą uwagę utworom młodszych artystów, osnutym na tle swojskiem-ludowem, nie szczędząc pochlebnych uwag dziełom ostatniej doby, z pośród których wyróżnia szczególnie obrazy Piotra Stachiewicza i Włodzimierza Tetmajera. Prócz powyższych czyni autor mniej lub więcej obszerne i pochlebne wzmianki o obrazach: Popiela, Styki, de Laveaux, Chelmońskiego, Stankiewiczówny, Dietricha, Kurelli, Żelechowskiego, Bielniewicza, Benedyktowicza, Piotrowskiego i Pruszkowskiego.

* Dnia 28 marca b. r. ukonstytuował się w Krakowie komitet, mający na celu urządzenie na wystawie lwowskiej osobnego działu, a mianowicie »retrospektywnej wystawy sztuki

polskiej« poczynając od roku 1848 aż po rok 1887, t. j. do ostatniej krajowej wystawy w Krakowie. Pomysł tego ciekawego działu powzięli przeszłego lata w Zakopanem pp. St. Witkiewicz i prof. M. Sokołowski. Ten ostatni objął przewodnictwo w komitecie, do którego prócz autora »Sztuki i krytyki« weszli: dyr. Łuszczkiewicz, Juliusz Kossak, A. Römer, L. Benedyktowicz, P. Stachiewicz, T. Ziemięcki i K. M. Górski.

* Teodor Rygiel i Włodzimierz Tetmajer przybyli do Krakowa z Rzymu. — Gościli w naszym mieście dni parę: Bronisław Grabowski i Dr Ostaszewski-Barański, redaktor *Dziennika Polskiego* we Lwowie.

* Ślub Henryka Sienkiewicza — bawiącego obecnie w Rzymie — odbędzie się w Krakowie za dni kilka.

* Komitet Grottgerowski zamierza w czerwcu urządzić wystawę obrazów, z której dochód przeznacza na pomnik, wzniesić się mający w Krakowie twórcy »Warszawy«, »Lituanii« i »Wojny«.

* Wiedeńska *Allgemeine Kunst-Chronik* помещa w ostatnim swym zeszycie korespondencję współpracownika *Świata* K. J. Nittmana o *salonie* lwowskim.

* »Wernyhora«, obraz dramatyczny, wykrojony z powieści M. Czajkowskiego przez młodego autora — ukrywającego się pod pseudonimem Barbitona — i przedstawiony na benefis p. Siennickiej, zdobył sobie duże powodzenie, zdaniem naszym zasłużone. Tego rodzaju utworów, podnoszących ducha, teatr krakowski potrzebuje koniecznie. Cieszyłobyśmy się, aby one właśnie wyparły z repertuaru bezmyślne farsy, a nawet i melodramaty obce, choćby nawet »dobrze zrobione«. Wszyscy artyści przy czyniali się w miarę ról, jakie mieli sobie powierzone, do sukcesu utworu. Pani Siennicka wcale udatnie zaznaczała sangwinistyczny temperament cyganki, a p. Siemaszko grał wybornie, podnosząc ledwie naszkicowaną sylwetkę do poziomu charakteru. — W wielkotygodniowy wtorek, artyści sceny krakowskiej, przy czynnym współdziałaniu dyrekcji, wystawili na korzyść Jana Galasiewicza, cztery jednoaktowe utwory oryginalne: »Czyja wina?« Sienkiewicza, »Przewodnik dla zakochanych« Simona (z Poznania), Orzeszkowej »Pokociło się i dam nogę«, Abrahamowicza »Pupil pupila« i wreszcie wyjątek z melodramatu Staszcyka »Wiara, nadzieja i miłość«. Celowi widowiska stało się zadość. Publiczność salę teatralną przepelniła, oklaskując grę pań: Wojnowskiej, Siennickiej, Trapszówny, Kałużyńskiej, oraz panów: Rygiera, Ruszkowskiego, Solskiego i innych. Dochód był znaczny. Utalentowany artysta i pisarz — kalectwem pozbawiony chleba — znalazł w kwocie, doręczonej mu przez kolegów, chwilowy zasiłek. Ale co dalej? czy nie należałoby pomyśleć o zapewnieniu mu jakiej stałej posady przy nowym teatrze? czy nie znalazłby się na to jakiś skromny fundusik, byle okruszyna z owego miliona, pochłoniętego przez budowę teatru? Ojcowie miasta powinni by się nad tem zastanowić. — »Książę Henryk« dramat historyczny Bronisława Grabowskiego, przedstawiony na benefis p. A. Kałużyńskiej, zajął słuchaczy swoją treścią historyczną i ładnym obrazowaniem momentów kronikarsko-scenicznych. Utwór, chociaż nie dosięga górnych wyżyn poezji i nie wstrząsa tragiczną grozą: czy to jaskrawo namalowanych charakterów, czy polotem słowa lub dramatycznością sytuacji — wywiera jednak na słuchaczach wcale przyjemne wrażenie, jako dzieło tendencyjno-przygodne, na wskróś szlachetne w założeniu i opracowaniu. »Książę Henryk« pomnożyć może w repertuarze teatralnym szczupłą liczbę sztuk, grywanych w dnie świąteczne i uroczyste. Na pierwszym przedstawieniu publiczność obdarzyła benefisantkę: wieńcami, bukietami kwiatów i prezentami,

suto wynagradzając oklaskami staranną grę pp.: Rygiera, Śliwickiego, Siemaszki i Solskiego, oraz kilkakrotnie wywołując autora na proscenium w celu wyrażenia mu swojego uznania.

* Władze gubernialne warszawskie zatwierdziły projekt pomnika dla Fryderyka Chopina, stanąć mający w miejscu jego urodzenia w Żelazowej Woli, z zastrzeżeniem jednakże, że na monumencie nie będzie żadnych innych napisów, prócz nazwiska, oraz daty urodzenia i zgonu.

* Alfred Szczepański, syndyk stowarzyszenia prasy zagranicznej w stolicy Austrii, wygłosił dnia 10 b. m. w wiedeńskim klubie naukowym pogadankę p. t. »*Dynastia walców*«.

* Piąty zjazd chirurgów odbędzie się w Krakowie w połowie lipca.

* Towarzystwo dziennikarzy polskich urządziło w d. 25 b. m. raut, protektorat nad którym objęli: Stanisławowa hr. Badeniowa i marszałek krajowy Eustachy książę Sanguszko.

* Koncert Alicji Barbi szczerze zapelniał salę hotelu Saskiego. Utalentowana artystka śpiewała ślicznie pieśni: Schuberta, Brahmsa, Schumana, Czajkowskiego, oraz mazurka Chopina; interpretacja tego ostatniego jednakże wiele pozostawiała do życzenia.

* W stolicy Austrii w d. 1 kwietnia zaczęła wychodzić polska *Gazeta Wiedeńska*.

* Nakładem autorki, panny Aleksandry Bylinianki wyszedł tomik wierszy p. t.: »*Liście i listki*«. Dochód z rozsprzedaży książeczki przeznaczyla poetka na pomnik Adama Mickiewicza wzniesić się mający w Tarnopolu.

* Wydział krajowy wysłał: p. Juljusza Frommla, znanego agronoma, w podróż naukową w celu zwiedzenia zagranicznych szkół rolniczych, połączonych z internatami, i zapoznania się z ich organizacją; oraz Dra Ursyna Wareg Massalskiego, celem zbadania postępu w technice mleczarstwa i zwiedzenia zakładów naukowych mleczarskich.

* W miesięczniku *Ruskaja Myśl* w zeszycie za marzec, p. M. Protopopow omawia w długim artykule p. t.: »*Wina czy nieszczęście*«, powieść Henryka Sienkiewicza »*Bez domatu*«.

* Sekcja muzyczna wystawy krajowej we Lwowie, pod przewodnictwem Dra A. Tchórznickiego, ułożyła bardzo zajmujący program produkcji wykonać się mających w ciągu ekspozycji. Nadto uprosiła Władysława Zeleńskiego o napisanie kantaty na uroczystość otwarcia wystawy, zaś Zygmunta Noskowskiego o skomponowanie w tymże samym celu uwerury na instrumenta dęte. Tak jeden, jak i drugi kompozytor zapewnili, że na czas oznaczony złożą zamówione utwory.

* W d. 25 kwietnia przypada *trzechsetna* rocznica zgonu Tassa, którą Rzym uroczysto obchodzić będzie. Jak nas zapewniają dobrze poinformowani, równocześnie i pamięci Piotra Kochanowskiego, nieśmiertelnego polskiego tłumacza »*Jerozolimy wyzwolonej*«, hołd oddany będzie.

BIBLIOGRAFIA.

Maryan Zdziechowski. — »Karol Hynek Macha i bajronizm czeski«. — Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1893 — in 8^o, str. 69.

Autor, specjalista w historyczno-literackich badaniach bajronizmu, ogłasza od kilku lat szereg studyów w tym przedmiocie, do których i niniejsza praca należy. Obejmuje ona prócz Machy (1810—1836) — którego życie i działalność opracowana szczegółowo — także jeszcze sylwetki literackie Karola Sabiny, Wacława Bolemira Nebeskiego, Józefa Wacława Fricza, Rudolfa Mayera, Gustawa Pflęgera Moravskiego i Witosława Halka. Dochodzenia autora wykazują, że poezja bajronowska wy-

rwala czeskie koła literackie z zaklętego koła poezji tendencyjnej, politycznej, panslawistycznej, a wprowadziła na tory realizmu i humanizmu. Rozprawa ciekawa, wiodąca czytelnika *in medias res* czeskich spraw i stosunków literackich, uczona a przytem zajmująca, winnaby znaleźć się w ręku nietylko zawodowych, ale i szerszej publiczności.

Abgar-Soltan. — *»Rusini«*. Szkice i obrazki. — (Do celu. — Semen Kwitka. — Hnat sierota. — Przy ognisku myśliwskim). W Krakowie. Nakładem Spółki Wydawniczej Polskiej. 1893.

Jedną z czterech nowelli zamkniętych w tym tomiku, wydanym starannie, drukowaliśmy w *Świecie* (*»Przy ognisku myśliwskim«*). Wszystkie posiadają niezaprzeczone zalety łatwości i wdzięku opowiadania, obrazowości barwnej i artystycznej, tudzież doskonałej znajomości rusińskiego ludu.

»Zakopané« w polskich Tatrach. Napsal *Edvard Jelinek*. S ilustracjami prof. *W. Eljasze* a *St. Witkiewicza*. — V Praze. Knihtiskárnia F Šimáček, nakladatelé. 1893.

I polski pisarz goręcej i życzliwej nie mógłby opisać Zakopanego i spraw jego, jak nasz zacy przyjaciel Edward Jelinek. Książeczkę — wydaną niezmiernie starannie, z ładnymi ilustracjami Eljasza i Witkiewicza — czyta się z prawdziwą przyjemnością i szczerem zajęciem. Talent i serce autora czynią z niej utwór nadzwyczaj dla nas miły i sympatyczny.

»Listy Maszy do Paszy«. — Szkice i obrazki. Przez *X. A. Jer.* — we Lwowie. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1893.

Gorąco polecamy czytelnikom naszym tę książeczkę, pisaną krwią i łzami. Składa się ona z sześciu szkiców, odbijających w sobie wyborne życie i niedolę zakordonowych braci naszych, gnębionych przez wrogów, albo przedziwnie — bez cienia przesady — charakteryzujących Rosyan, rządzących *przywisańskim* krajem. Ostatni — *»Listy Maszy do Paszy«* — daje tytuł zbiorowi. Jest to z wielkim talentem nakreślony obraz duszy Rosyanki, pani gubernatorowej, obraz, który pomimo, że wiernym się wydaje jak fotografia, jak odbicie postaci w zwierciadle, posiada jednak warunki artystyczne miary i taktu, odejmuje dzieło sztuki wszelki pozór namiętności. Można bohaterką utworu *»pogardzać«*, nie potrzeba *»nienawidzić«*.

Dr Nadmorski. — *»Kaszuby i Kociewie«*. Język, zwyczaje, przesady, podania, zagadki i pieśni ludowe w północnej części Prus Zachodnich. Poznań 1892. Mała 8-ka. Str. 167.

Początek tej pracy drukowanym był w VI tomie *Wisły*; obecnie wychodzi całość zawierająca powtórzenie tego początku w obszerniejszym opracowaniu, wzbogaconem nowymi szczegółami. Treść dziełka podaje dokładnie tytuł; jak urozmaiconą, tak też jest ona najmniej interesującą, jakkolwiek autor nie wyzerpuje swego tematu. Ogłoszony tu materiał jest walnym przyczynkiem do znawstwa Kaszub, o których niedawno jeszcze nie prawie w reszcie Polski nie wiedziiano; jakież ciekawe a oryginalne są te nasze zapadłe kąty kresowe nad Bałtykiem, sympatyczne prostotą, pilnością i poważnym charakterem swych mieszkańców; to też serdecznie witamy każdy przyrost kaszubskiego folkloru nietylko z naukowych względów, ale też z narodowych. Odkąd Derdowski wygłosił tam hasło, że *»nie ma Polści bez Kaszobow, a Kaszob bez Polści«*, każda książka kaszubska lub o Kaszubah jest rękojmnią, że związki starej lechickiej kępy z macierzą polską będą się coraz bardziej ściśniały; kto zaś raz tylko miał sposobność mieć w ręku coś kaszubskiego, ten z pewnością będzie się już na zawsze interesować temi sprawami.

Teofil Szumski. — *»Manifest narodowy sejm*

mu grodzieńskiego 1793«. — W setną rocznicę.

Sześć stronic sześciowerszowych strof, poświęconych smutnej pamięci sejmowi, zwołanemu dla ratyfikowania drugiego rozbioru, którego przebieg autor może nazbyt szeroko opisuje ze szkodą dla zasadniczej myśli poematu, którą jest *protest*, a która dopiero na samym końcu utworu się wyłania. Rzecz pisana pod wpływem szlachetnego uczucia, zaleca się bardzo do rozpowszechniania pomiędzy drobnym mieszczaństwem, w czytelnich ludowych i t. p. Cena egzemplarza 5 centów umożliwia rozdawanie tego poemaciku na większą skalę, co byłoby pożądanem; niezdrowego ziarna tam nie ma.

Stanisław Polaczek — *»Wieś Rudawa«*. Lud, jego zwyczaje, obyczaje, obrzędy, piosnki, powiastki i zagadki. Warszawa 1892, mała 8-ka str. 255 (Biblioteka *»Wisły«* tom IX).

Nie od rzeczy będzie polecić Krakowianom folklorystyczną monografię znanej im wioski, będącej drugą od Krakowa stacją północnej kolei żelaznej. Kto się chce dowodnie przekonać, ile to ciekawego i dla uczonego i dla laika materiału zawiera w sobie jedna wioska, niechaj weźmie do ręki tę książkę. Autor ma talent do opowiadania niezaprzeczone, a rzecz przedstawia w porządku, systematycznie, przejrzysto, to też całość składa się na żywy obraz naszego ludu, w którym zewnętrzna strona jego życia występuje plastycznie, a wewnętrzna przedstawia się jasno i zrozumiale. Burzą takie prace niejedno kliwio-sielankowe zapatrywanie (a raczej romantyczne przywidzenie przy zielonym stoliku), ale też pokazują *prawdę*, wskazując, z czym się ma istotnie do czynienia; mogą posłużyć za jedyne rzetelne drogowskazy do pracy nad ludem, która koniecznie musi się oprzeć na dokładnym znawstwie jego stosunków. Przyjaciele ludu niechaj zaczną od folkloru, a wtenczas dojdą najdalej. Książka p. Polaczka ułożoną jest tak dobrze, że pod tym względem może służyć za wzór dla piszących podobne monografie, których ilość oby tylko szybko rosła! Oby też stan nauczycieli wiejskich liczył więcej takich członków, jak autor tej pracy, pomny obywatelskich swych obowiązków, umiejący i chcący przydać się w swym zakresie nietylko dzieciom swej szkółki. Nie zabrakłoby dla was, panowie, ani sposobności zwrócenia na siebie uwagi, ani pola do popisu, gdybyście tylko zechcieli wyzyskać wszechstronnie stały pobyt pośród ludu!

»Niewinniona«. — Powieść przez *Fortunata du Boisgobey*. — Kraków. L. Zwoliński i Spółka, 1893.

Jest to ciemna i zagmatwana historia, w rodzaju podobnych do niej arcydzieł (!) pp. Ksawerego de Montepina, Ponson du Teraille'a i w. innych tego samego gatunku pisarzy. Podziwiać należy, że takie utwory znajdują u nas tłumaczy i... czytelników!

NEKROLOGIA.

* W Warszawie zmarł *Adam Herman*, jeden z najznakomitszych wionolczellistów tegożczesnych. Obdarzony olbrzymim talentem, posiadał on także znaczne, szlachetne serce i usposobienie na wskroś artystyczne, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Od dwudziestu lat nie grywał publicznie; zdziwaczał. Wyrzekł się sławy i majątku, a mógł pełnymi garściami zbierać złoto i laury. Co rok przybywali do jego skromnego mieszkania na trzecim piętrze zagraniczni przedsiębiorcy, którzy najświetniejsze czynili mu propozycje; artysta odrzucał je z pewnym pesymistycznym uporem. Warszawa — rodzinne miasto Hermana — każdy jego występ opłacałaby chętnie tysiącami rubli, ale wionolczellista *na estradzie grać nie chciał*. Czasem tylko, dla kółeczka wybranych przyjaciół, chwycił smyczek w dłonie

i przekonywał, że mistrz nie przestał być mistrzem; kto wie czy nie był większym może, niż wówczas, kiedy go sławiono i zasypywano wieńcami. Z rozważą, z rozmysłem, z niezłomnym postanowieniem *»ukrywał talent pod korcem«*. Nie chciał *»krytyce dzisiejszej, stronnej i płytkiej wchodzić w drogę«*, a *»pogardzał reklamą«* i *»umizgami do złotego cielca«*. W stosunkach towarzyskich był prawdziwym *gentlemanem*; w obejściu się ujmującym, pełnym dystynkcji artystą. Szczerą przyjaźń i wzajemny szacunek łączyły nas ze zmarłym od lat wielu. Żegnamy z żalem duszę jego odchodzącą w lepszą krainę, gdzie prawdopodobnie pesymizm jej i smutek — z wielu względów usprawiedliwiony — zmieni się w wiarę i miłość.

* W Warszawie zmarła znana rozgłośnie artystka-malarka *Anna Bilińska* (Bohdanowiczowa), której piękne prace pomieszczyliśmy w *Świecie*. W jednym z przyszłych zeszytów naszego dwutygodnika damy jej portret, oraz szczegóły i daty biograficzne przedwcześnie — z wielką stratą dla sztuki polskiej — przerwano go.

* W tych dniach rozstała się z tym światem *Malwina Ogonowska*, literatka, która kilkanaście lat wykladała historię literatury polskiej w akademii im. Mickiewicza w Bolonii. Wydała w języku włoskim parę broszur o piśmiennictwie naszym, oraz pomieszczała wiele rozpraw w dziennikach i czasopismach zaalpejskich w sprawach blisko nas obchodzących. Umarła nagle, we Florencji. Cześć jej pamięci.

* Z Wrocławia nadeszła wieść o śmierci *Stanisława Węclewskiego*, b. profesora gimnazjum w Chojnicach, a brata filologa ś. p. Dra Zygmunta Węclewskiego, prof. i rektora uniwersytetu lwowskiego. S. p. Stanisław Węclewski urodził się w Międzyrzeczu w W. Ks. Poznańskim d. 10 listopada 1820 r. Wychowanie odebrał w gimnazjum Panny Maryi w Poznaniu, a następnie na akademiach w Bonn, Berlinie i Wrocławiu. Zaskoczony wypadkami z r. 1846 i 1848, więziony był dłuższy czas w cytadeli poznańskiej. W marcu 1849 roku złożył w Wrocławiu egzamin *pro facultate docendi* i rozpoczął zawód nauczycielski przy gimnazjum Panny Maryi w Poznaniu, z kąd powołany został dla wykładu języka polskiego, języków starożytnych, oraz literatury niemieckiej i francuskiej do Chełmna w Prusach zachodnich. Tu mianowany zwyczajnym a następnie wyższym profesorem, pozostawał do r. 1874, w którym to roku przeniesiony został w charakterze starszego profesora do Chojnic. W czynnej służbie pozostawał do r. 1886, poczem zamieszkał w Wrocławiu, gdzie zmarł 4 b. m. Z rozpraw jego zamieszczonych w programach gimnazjum chełmińskiego, bądź też wydanych osobno, wymieniamy: *»System głosowni polskiej«*, *»Die Polonorum cultu et humanitate decimo sexto et incunte decimo septimo saeculo, Simon Maricius«*, *»Ein Beitrag zur Kulturgeschichte Polens«*. W Chojnicach wyszła dysertacja: *»De Platonis Eutyphrone«*. Cenną wartością odznaczają się wydania jego i komentarze do *»Flisa«* Sebastjana Klonowicza, tudzież *»Sielanek«* Szymona Szymonowicza. Do ostatniej chwili życia zajmował się studiami filologicznymi i z zakresu literatury polskiej, a dopiero ciężka choroba zmusiła go do przerwania rozpoczętych prac. Cześć jego pamięci!

* W d. 5 kwietnia zmarł w Karlsruhe prof. *Wilhelm Lübke*, znany historyk sztuki.

* W Genewie zmarł słynny przyrodnik-botanik, *Alfons de Candolle*, przyjaciel z lat młodzieńczych Zygmunta Krasińskiego.

* W Pradze zmarł *Dr Franciszek Jerzábek*, znany zaszczytnie dramaturg i publicysta czeski. Największem powodzeniem ze sztuk jego cieszyły się dramaty: *»Syn człowieka«* i *»Zawieść«*.